Rok I. We Lwowie. Dnia 10. Sierpnia 1894. Nr. 14 i 15.

SŁOWO POLSKIE

DWUTYGODNIK

POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, POLITYCE, LITERATURZE I SZTUCE.

Prenumerata we Lwowie:
rocznie . . . . . . 12 koron (6 złr. — ct.)
półrocznie . . . . . 6 „ (3 „ — „)
kwartalnie . . . . . 3 „ (1 „ 50 „)

Prenumerata z przesyłką:
rocznie . . . . 13 koron — ct. (6 złr. 50 ct.)
półrocznie . . . 6 „ 30 „ (3 „ 30 „)
kwartalnie . . 3 „ 15 „ (1 „ 65 „)

Cena jednego numeru 30 ct.

Prenumerować można w Administracyi pisma, w Biurach Dzienników oraz we wszystkich księgarniach lwowskich i prowincyonalnych.

Redakcya i Administracya mieści się przy ulicy Kopernika l. 6.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Dziadek choleryk i wnuk wyjątkowy. — Jaki bocian chce wydziobać anarchistów i jakim sposobem? — Do jakich niedorzeczności może doprowadzić ów strach, co ma wielkie oczy. — Chiny, Japonia a ich rozjemca w przyszłości. — Car prawosławny na Pamirze i w Rumunii.

Sześćdziesiąt parę lat temu, po lipcowej rewolucyi we Francyi, objął rządy mieszczańskiego królestwa dziadek teraźniejszego prezydenta francuskiej rzeczypospolitej, *Casimir Perier*. Ów pamiętny minister, przeklęty przez Mickiewicza, był prawdziwym człowiekiem chwili, najdogodniejszym wykonawcą lisich zamiarów nowego króla Francuzów, pół Burbona i półkonwencyonalisty, Ludwika Filipa. Zadaniem ówczesnej nowo utworzonej dynastyi było hamowanie rewolucyi bez wyraźnego wyparcia się jej haseł, uspokojenie wzburzonego ludu przy pomocy zadowolonych mieszczuchów i przeproszenie zatrwożonych despotów, poświęcając im powstające z grobu narodowości: Włochy, Polskę, Irlandyę. Casimir Perier, ciasny doktryner kupiecko-ekonomicznej szkoły, przytem człowiek uparty i energiczny, wyśmienicie sprostał takiemu zadaniu. Nikt lepiej nie potrafił okiełzłać rozzuchwalonej prasy, stłumić bunty uliczne, z których najsławniejszy powstanie 1832 r. zostało uwiecznione przez Wiktora Hugo w Nędznikach; nikt nie umiał, ani przed nim, ani później, tak doskonale przekonać mieszczuchów i kapitalistów, że »pokój przedewszystkim — za jaką bądź cenę«; nikt nie śmiał tak bezczelnie jak on, czy jego kolega Sebastiani, wypowiedzieć z francuskiej mównicy po szturmie Woli, że »porządek panuje w Warszawie«; nikt nie użył zręczniej francuzkich wojsk, niby sprzyjających powstaniom, dla stłumienia rewulucyi w Belgii, gwoli Angli, i we Włoszech, gwoli papieżowi i Metternichowi. A kiedy po dwóch latach panowania ów choleryczny minister stał się ofiarą cholery, zaniesionej do Europy i do Paryża przez Moskali, dla których Francya Polskę listopadową poświęciła, Perier pozostał na zawsze ideałem hamulców politycznych i upartych a nierozumnych b u r ż u a.

Wnuk jego, któremu z czoła patrzy ten sam dumny i ciasny upór, urzęduje zaledwie parę tygodni, a stał się już najzupełniejszym sobowtórem swojego osławionego dziadka. Wybrano go, ażeby mieć prawdziwego, niemalowanego, nie drewnianego prezydenta, jakim był Carnot, i Perier już pokazał, że będzie mógł doskonale grać rolę bociana w bajce dla francuzkich żab, że ma zupełnie dyktatorskie zapędy. Nim się Francya opamiętała po wzburzeuiu umysłów, wywołanem przez zamordowanie Carnota, już ministrowie nowego prezydenta przeprowadzili w izbie deputatów niesłychanej doniosłości prawo wyjątkowe, przypominające najzupełniej te, które wymyślił minister Ludwika

Filipa po rewolucyi lipcowej przeciw ówczesnym „republikanom" (anarchistów i socyalistów jeszcze wówczas nawet na lekarstwo nie było). Przyznać nawet trzeba, że prześciga ono, co do ostracyzmu i zawziętości, wszystko, co było kiedykolwiek wymyślone przez jakikolwiek parlament. Sprawy anarchistów wyłączają się z pod kompetencyi sądów przysięgłych a oddają się sądom policyjnym; sprawozdania o nich zupełnie zabraniają się; do takich spraw można zaliczyć, podług widzi mi się prokuratoryi, nawet opinie, wypowiedziane przez prywatne osoby w miejscach niepublicznych; anarchistów można ukarać celkowem więzieniem i deportacyą, którym to karom nie podlegają, podług francuzkiego kodeksu, nawet najwięksi zbrodniarze; nareszcie ustawa została przyjętą na czas nieograniczony, czem zawstydzono samego Bismarka i jego prawa wyjątkowe przeciw socyalistom. Jednem słowem trudno sobie wyobrazić wstrętniejsze naigrywania się ze wszystkich zasad sprawiedliwości, gwoli uspokojenia całego tłumu „rentyerów", rozszalałych ze strachu wobec garstki zapaleńców.

Wiadomo do czego doprowadziła Francyę polityka dawnego Periera. Francya, która mogła skorzystać z powstania wszystkich europejskich narodów, a głównie z naszej listopadowej rewolucyi, i stanąć na czele Europy, stała się państwem drugorzędnem, podnóżkiem Brandeburgii, pośmiewiskiem całego świata i nędzną pochlebczynią jakiegoś tam Gotorpa. Owa „republika", którą stary choleryk chciał zniweczyć, posłała do kaduka Orleanów a potem Napoleonidów, jest dzisiaj formą rządu, której niby służy wnuk Periera i dla której powtarza niedorzeczne rozporządzenia, wymyślone w 1832 roku, a te „destrukcyjne żywioły", komunizm, sensymonizm, furyeryzm, które chciano wyjątkowym sposobem zniszczyć w zarodku, grasują dzisiaj w najlepsze — pod innemi nazwiskami.

Przykład Francyi oddziaływa na inne państwa, i tworzą się zewsząd konwencye przeciw anarchistom, chociaż żadnych nie utworzono przeciw bezczelnemu międzynarodowemu złodziejstwu, którego najjaskrawszym przykładem była »francuzka Panama«. Co gorsza, niedorzeczne mrzonki i nieludzkie postępki anarchistów zostały uszlachetnione przez takie niesłychane prześladowanie, i można się obawiać, że z półgłówków i szaleńców wytworzą się bohaterowie i męczennicy niedorzecznej idei, którzy coraz więcej znajdą naśladowców ze szkodą prawdziwego postępu. Takie to smutne zjawiska przedstawia nam schyłek owego wieku, który się zaczął pod hasłem „praw człowieka".

Tymczasem wzmocniony absolutyzm, który dogorywał, zdawało się, pięćdziesiąt lat temu, korzysta z tych zamieszek dla coraz nowych podbojów. Carat zacznie bez wątpienia nowe kampanie na wschodzie i znajdzie wygodną ku temu sposobność w zatargu między Chinami a Japonią w Korei. Owe małe państewko było zawsze kością niezgody między swoimi potężnymi sąsiadami, którym było z kolei podwładnem, a teraz może się stać powodem nowej wojny między nimi. A Rosya jest teraz najbliższym sąsiadem Korejczyków i nie zamieszka z tego wszystkiego skorzystać dla nowych zaborów. Tak zabrała ona niegdyś Amur i wybrzeża Mandżuryi z Sachalinem, korzystając z wojen Chin z Anglią i Francyą, zaczętych jak teraźniejsza kampania Japończyków, dla wprowadzenia do państwa Bogdychana zasad europejskiej cywilizacyi. Na drugim krańcu chińskiego państwa, u samych wrót Indyi angielskich, posuwają się także Moskale naprzód, milczkiem a wytrwale, na Pamirskiem płaskowzgórzu, a wewnętrzne sprawy Europy odwracają uwagę wszystkich, nawet Anglików, od takich niebezpiecznych zjawisk.

Bliżej, bardzo blizko od nas, car znajduje także bardzo dogodne stanowisko, dzięki takiej samej perierowskiej polityce. Zawzięte prześladowanie przez Węgrów rumuńskiej narodowości w Siedmiogrodzie' oburzyło naturalnie całą Wołoszczyznę, a prawosławne rumuńskie duchowieństwo nie zaniedba takiej wybornej sposobności zarekomendowania swoim rodakom wielkiego prawosławnego protektora, co się bardzo wyraźnie odbija już na Bukowinie. Jednem słowem wszędzie te same niesprawiedliwe, niedorzeczne, głupie w swojej zawziętości postępowanie klas rządzących, zagrożonych w swojej „posiadłości" (jak mówi *Neue Freie Presse)*, wywołuje te same konieczne i zgubne skutki, z których skorzystać może jedynie — knut despotów.

SPRAWY POLSKIE.

Walka z germanizacyą.

(Szkice z X. Poznańskiego),

napisał *Izydor.*

(Ciąg dalszy).

Utworzenie komisyi kolonizacyjnej nadało całkiem nowy zwrot naszym usiłowaniom ratowania ziemi. Ks. Bismark otworzył nam oczy na tę wielką prawdę, że wobec ostatnich krachów rolniczych — większa własność ostać się nie może, na jej miejsce zaś należy stworzyć własność drobną, mającą wiele większe szanse pomyślnej egzystencyi. Zamiast więc ratować zadłużonych obywateli ziemskich pomyśleliśmy o parcelacyi, i dzięki temu powstał Bank ziemski. Wieść o utworzeniu jego rozeszła się szybko po wszystkich ziemiach przez braci rodaków zamieszkałych; podpisy na akcye zbierano w Koronie i na Litwie, w Galicyi, nawet w Stanach Zjednoczonych, skąd, mówiąc nawiasem, najwięcej wpłynęło pieniędzy. W porównaniu z komisyą kolonizacyjną Bank ten był niesłychanie słabym finansowo, gdyż stu milionom rządowego funduszu zaledwie niecałe 3 miliony kapitału zakładowego mógł przeciwstawić. Z początku też operacye jego wlokły się bardzo leniwie i nie zdołały uratować nikogo z zagrożonych na razie. Pomysły były bardzo dobre, program znakomity, lecz brakło mu sprężystości, energii, szybkiej i zręcznej akcyi, zdolnej wyzyskać wielki zapał naszych włościan do nabywania ziemi. Przyznać też trzeba, iż zadanie banku łatwem nie było. Należało nabywcom stawiać jak najłatwiejsze warunki, aby ich do kupna zachęcić i utrzymanie się przy nabytych parcelach umożliwić, z drugiej strony, płacąc zbyt nizko za nabywaną ziemię, nie przynosiło się żadnej korzyści sprzedającym, wreszcie unieruchomienie kapitału na hypotekach parcel — mogło narazić bank na straty i wywołać w krótkim czasie zupełną stagnacyą w jego czynnościach. Lawirując między wszystkiemi temi niebezpieczeństwami Bank przez pierwsze lata wiódł senny żywot i wywołał wielkie rozczarowanie w społeczeństwie, które po instytucyi ratunkowej istotnie ratunku się spodziewało. Jedna lub dwie szybko i pomyślnie dokonane parcelacye byłyby od razu wzbudziły zaufanie i bankowi pomyślny zapewniły rozwój — wiele robót zaczętych i leniwie prowadzonych zniechęcały i niecierpliwiły ogół, wywołując rozgoryczenie. Zwrócić trzeba uwagę i na to, że o ile parcelacya przeprowadzona szybko i całkowicie bardzo skutecznym może być środkiem do uregulowania i polepszenia naszych ekonomicznych stosunków, o tyle parcelowanie powolne i częściowe jedynie wikłać, gmatwać i zabagniać je może. Gospodarstwo na majątku częściowo rozparcelowanym staje się trudnem i bez kwestyi chromać musi, a niepewny — tymczasowy stan hypoteki wytwarza położenie ekonomiczne nieznośne na dłuższy przeciąg czasu. Nie można twórcom i kierownikom Banku odmówić ani dobrej woli, ani znajomości rzeczy, — była to jednak znajomość rzeczy przeważnie teorytyczna, wystarczająca do stworzenia dobrego programu postępowania, niedostateczna do przeprowadzenia go w praktyce i przełamania wszystkich nastręczających się przeszkód. Na szczęście w późniejszym czasie przybyły mu w pomoc dwie bardzo pomyślne okoliczności. Jedną z nich było tworzenie się spółek ziemskich, drugą rozszerzenie na prowincye wschodnie prawa o dobrach rentowych. Pierwszy z tych faktów przyspiesza działalność banku, wciągając w ważną sprawą parcelacyi większą ilość kapitałów i zatrudniając nią większy zastęp energicznych i zdolnych osobników; drugi ułatwia jego zadanie, chroniąc go od niebezpieczeństwa unieruchomienia kapitału, a równocześnie stwarza dla nabywców parcel łatwe i dogodne warunki. Obecnie więc działalność banku zasadza się przeważnie albo na pośredniczeniu między sprzedawcami a Spółkami Ziemskiemi, albo na załatwieniu formalności wstępnych wobec generalnej komisyi dla dóbr rentowych, albo też wreszcie w wyjątkowych wypadkach na parcelowaniu na własną rękę z przejęciem na siebie części ryzyka finansowego. W każdym razie procedura cała została przez owo prawo o dobrach rentowych (z dnia 7 Lipca 1891 r.) niezmiernie uproszczoną. Nabywcy, od których dawniej wymagano natychmiastowej spłaty $^1/_3$ części ceny ziemi i $4^1/_2$% rocznie od dwóch trzecich pozostałych, obecnie płacąc $^1/_4$ przy kupnie, resztę umarzają 4 % centową rentą w przeciągu

lat 60. Bank zaś, dla którego pozostawienie znacznej sumy na niewiele procentującej hypotece groziło stagnacyą w obrotach, obecnie w krótkim czasie odzyskać może swe wkłady przez listy rentowe. Po za tem wprawdzie udziela on osadnikom pożyczek na budowle lub zaliczki, chodzi tu jednak już tylko o sumy nie wielkie i na krótki termin udzielane. Prawo wyżej wspomniane usuwa zresztą cały szereg trudności, o których nie mówiliśmy jeszcze. Przy rozdrabnianiu większych posiadłości należało zawsze uskuteczniać pewne formalności prawne, — uzyskać konsens na budowle, postarać się o rozkład ciężarów gminnych, podatków kościelnych i szkolnych. Wszystkie te sprawy ciągnęły się nieraz tak długo, że całą sprawę parcelacyi na szwank narażały i zarówno osadnikom jak sprzedawcom groziły częstokroć materyalnemi stratami. Obecnie czynności te załatwia generalna komisya, ona udziela osadniczych konsensów, przez co upraszcza się niezmiernie cała procedura. W obec tego pomyślnego zwrotu w bardzo ważnej dla nas sprawie — można słusznie oczekiwać od przyszłości szybkiego rozwoju i wzrostu drobnej własności ziemskiej. Stosunki ekonomiczne w Poznańskiem ulegną niewątpliwie znacznemu przekształceniu, ziemia przejdzie w przeważnej części, jeśli nie całkowice w ręce chłopów, zmniejszy się zaś zastęp włościan bezrolnych i folwarcznych robotników. Wprawdzie równocześnie tworzą się wśród nas, dzięki komisyi kolonizacyjnej osady niemieckie, mające być krzewicielkami niemieckiego języka i obyczaju — nie można jednak dziś jeszcze oznaczyć, o ile one dla naszego chłopa niebezpiecznemi się staną. Przeszłość kazałaby optymistycznie zapatrywać się na tę sprawę. W dawniejszych czasach utworzone kolonie niemieckie przeważnie z biegiem lat zatraciły swój cudzoziemski charakter, a tu i owdzie tylko brzmienie nazwisk zdradza germańskie pochodzenie osadników.

Ludność zamieszkała w okolicach Poznania, t. zw. Bambry, z pod Bamberga w Bawaryi sprowadzeni, obecnie do bardzo patryotycznych grup polskich się zaliczają Nie jestto jednak reguła bez wyjątku, tu i owdzie żywioł niemiecki utrzymuje swą odrębność a niepodobna zawczasu przesądzać, o ile nowe osady na zmianę stosunków wpłyną. W każdym razie ludność, emigrująca do nas z zachodu, mniejszą może mieć siłę assymilacyjną, niż miejscową głęboko w ziemi naszej zakorzeniona Większe przywiązanie do ziemi, pewna ciągłość tradycyi rodzinnych i narodowych czyni ją mniej podatną do zmian, konserwatywniejszą, mniej podległą wpływom zewnętrznym, a tem samem nietyle skłonną do wynarodowienia się Trwałości cech narodowych naszego ludu dowodzić może ciekawy fakt, iż zachował on swą odrębność tam nawet, gdzie przez długie wieki żywiołem obcym otoczony łatwo byłby ją mógł zatracić, jak na górnym Szlązku lub Warmii. Ekonomiczne jego położenie również smutnem bardzo nie jest. Chłopi nasi, ogólnie biorąc, gospodarują dobrze i nieźle się ziemi trzymają. Na podniesienie stanu gospodarstw włościańskich niezmiernie wiele wpłynęły kółka rolnicze, których założenie stanowi ogromną zasługę Towarzystwa rolniczego i obywateli Księstwa. Organizacya tych kółek jest ogólnie znaną: członkami ich są włościanie, prezydują obywatele, księża, w kilku wypadkach tylko sami gospodarze. Raz na miesiąc odbywają się zebrania, na których omawiane bywają różne gospodarskie kwestye. Członkowie zakupują zbiorowo zboże do siewu, maszyny rolnicze, nawozy sztuczne, zawiązują spółki melioracyjne dla drenowania mokrych gruntów, słowem wspólnemi siłami starają się podnosić stan swoich gospodarstw. Od czasu do czasu urządzane wystawy rolnicze dowodzą, iż usiłowania te nie idą na marne. Od lat 20, t. j. od czasu założenia pierwszych kółek, zmiana na korzyść jest ogromna. Od prymitywnych metod gospodarczych chłopi nasi stopniowo przeszli do umiejętnych i postępowych systemów, a obecnie bynajmniej nie ustępują pod tym względem właścicielom większych dóbr ziemskich. Trzypolówka i nagie ugory zniknęły zupełnie, wszędzie zaprowadzono płodozmiany, ugorującą ziemię obsiewają koniczynami, chów inwentarza kwitnie, rozwija się potrosze i pszczelnictwo i sadownictwo, a ziemia, doskonale zasilana naturalnym lub sztucznym nawozem, uprawiana starannie i umiejętnie, obfite plony włościanom naszym przynosi.

Żadne nowe agronomiczne odkrycie, żaden postęp w dziedzinie gospodarstwa nie pozostaje obcym członkom kółek. Prezesowie objaśniają im znaczenie każdej takiej nowości, pisemka rolnicze ludowe podają

szczegółowe instrukcye, a nasi siermięgowi obywatele krok w krok zdążają za wciąż posuwającym sie postępem. Nietylko więc czysto gospodarcze sprawy traktowane bywają na zebraniach kółek, obrabiają tam nieraz w pogadankach i ekomoniczne i społeczne tematy, objaśniają rozporządzenia administracyjne, sprawę wychowania lub fachowego kształcenia dzieci, słowem wszystkie te kwestye, które z życiem włościan ścisły związek mieć mogą. To też nietylko gospodarstwa rozwijają się wskutek tego, równocześnie cywilizują się ich właściciele, a jeżeli w Poznańskiem wytworzył się, wcześniej niż gdzieindziej u nas, sympatyczny typ chłopa — obywatela, to przeważnie kółkom włościańskim to zawdzięczamy. W roku ostatnim ilość kółek doszła do 164; — licząc, że w każdem jest przecięciowo 30—40 członków, mamy obecnie kilka tysięcy włościan korzystających z dobrodziejstwa tego pożytecznego stowarzyszenia

Obok większych instytucyi finansowych istnieje u nas dość znaczna ilość drobniejszych, zakreślających sobie bardziej ograniczone pole działania i mniejszemi obracających kapitałami. Są to kasy oszczędności, banki ludowe, spółki melioracyjne lub budowlane, słowem, różne finansowe przedsiębiorstwa, mające na celu podniesienie ogólnego dobrobytu Wszystkie te instytucye, znane pod nazwą spółek zarobkowych, połączyły się przed 8 laty w jeden związek i utworzyły bank mający na celu udzielanie spółkom taniego kredytu i lokowanie korzystne ich kapitałów. Ilość spółek zarobkowych dochodzi do 80, rozwijają się one dość pomyślnie, a i bank egzystuje nieźle i daje akcyonaryuszom niewielkie dywidendy (około 6% średnio) lecz pewne dla kapitału pomieszczenie.

Jakkolwiek Polacy przeważnie trzymają się ziemi i zajęć rolniczych, w miastach zaś żywioł obcy przeważa, mamy jednak i u nas dość liczną klasę ludności miejskiej, złożoną w mniejszej części z zamożniejszych kupców lub fabrykantów, w znaczniejszej z rzemieślników i robotników. Stan finansowy tej sfery społecznej jest bardzo różny. Milionerów nie ma między nami, to fakt; nikt z naszych nie dorobił się wielkiego majątku i do wielkich kapitalistów sie nie zalicza. Zdarzają się jednak jednostki, którym wiedzie się wcale nie źle, a niekiedy trafia się, że na przemysłowej lub handlowej drodze ten i ów zbierze spory kapitalik i zdoła sobie dość dostatni byt zapewnić. Ma się rozumieć, że główną klientelę kupców polskich stanowi polska ludność, Niemcy bowiem i Żydzi (pod rządem pruskim do Niemców się zaliczający) mają tak liczne i bogate handle swych rodaków i współwyznawców, że u nich we wszystko zaopatrzyć się mogą. To też przez poczucie narodowej solidarności Polacy przestrzegają się wzajemnie, aby tylko u kupców polskich kupować i kontrolują się nawet pod tym względem, odstępstwo od tej zasady traktując jako sprzeniewierzenie się patryotycznym ideom. W każdem mieście i miasteczku naszych zachodnich dzielnic znajduje się polski i niemiecki hotel, polski i niemiecki skład kolonialny, łokciowy, norymberski, galanteryjny, a okoliczna ludność uważa sobie za święty obowiązek jedne popierać — drugie ignorować zupełnie. Uznanie tego obowiązku tak jest rozpowszechnionem, że jeśli ktoś naprzykład zboczywszy na fałszywą drogę tj do niemieckiego hotelu lub cukierni zostanie schwytany na gorącym uczynku — miewa minę tak zmięszaną, jak gdyby go złapano w chwili gdy weksel fałszuje. Jestto na małą skalę zdrada i jako taka rzuca cień na patryotyczne uczucia człowieka. Taka solidarność Polaków byłaby ze wszech miar chwalebną i uznania godną, możnaby ją bezwarunkowo wszystkim naszym ziomkom do naśladowania polecić, gdyby i na tem słońcu nie znajdowały się plany. Zdarza się np. że kupcy nasi polegając na idealnych pobudkach swych klientów — lekceważą zupełnie mniej idealne czynniki ich postępowania, to jest ich osobisty interes. Ufni w to, że Polacy bądź co bądź ich nie opuszczą, na Niemców zaś i tak liczyć nie mogą, zaniedbują handel, źle prowadzą interesa, dają lichy towar za drogą opłatą, słowem, zrażają nawet najpatryotyczniejszych gości. Całem szczęściem publiczności kupującej jest jeśli miasteczko jest dość wielkiem, aby kilku kupców rodaków utrzymać się w niem i współzawodniczyć mogło; wówczas konkurencya i chęć zarobku stawiają tamę temu nieuczciwemu wyzyskiwaniu szlachetnych popędów ludności. Z drugiej strony przyznać należy, że owo staranne unikanie kupców cudzoziemskich ogranicza się wyłącznie do firm miejscowych, którym zagraniczne i za-

miejscowe wielkie handlowe przedsięborstwa potężną czynią konkurencyę. W obec wielkich ułatwień komunikacyjnych, taniości i szybkości przesyłek pocztowych, można, mieszkając w Poznańskiem, nieomal wszystkie swe potrzeby zaspakajać przez korespondencyę nie wyruszając się z domu. Wielkie firmy handlowe wszelkich gałęzi rozsyłają po prowincyi tysiące ilustrowanych cenników, ogłaszających towar tani i dobry zarazem. To też sprowadzenie pocztą wszelkich towarów kolonialnych z Hamburga, łokciowych z Paryża lub Berlina i Wrocławia, nasion z Erfurtu, maszyn z głębi Niemiec praktykuje się dość często i, zapewniając niejakie oszczędności w budżecie, równocześnie zmniejsza szanse zarobku dla naszych kupców. Jestto fakt ogólnie znany i zdarzający się wszędzie, wielkie kapitały pochłaniają małe, które z niemi współzawodniczyć nie mogą; jeżeli jednak w Niemczech, Francyi i Anglii ma on jedynie ekonomiczne i społeczne znaczenie, u nas staje się on zgubnym dla narodowości, gdyż nasi przedsiębiorcy reprezentują właśnie ów drobny kapitał podczas gdy grubemi rybami są cudzoziemcy. Naturalnie byłoby o wiele konsekwentniej zasadę kupowania u swoich stosować zawsze i wszędzie, unikać nietylko miejscowych Millerów i Schmidtów, lecz wyrzec się i berlińskiego Herzoga i wrocławskiego Immerwaara i wreszcie paryzkich »Printemps« »Bon marché«, lecz przyznajmy, iż konsekwencya wymaga w tym razie pewnych materyalnych ofiar i zwiększa i tak już znaczną ilość narodowych podatków, któremi od nas rząd ściąga do państwowego, prowincyonalnego, powiatowego wreszcie skarbu, my Polacy mamy tysiące innych, które dobrowolnie na siebie nakładać musimy chcąc się skutecznie napływowi germanizacyi opierać. Wszyscy poddani mają dla swych dzieci naukę bezpłatną, raczej opłacają ją jedynie ogólnym szkolnym podatkiem, my musimy jeszcze naszym własnym funduszem pokrywać koszta dodatkowych lekcyi języka polskiego. Po za tem ileż jeszcze pieniędzy pochłaniają różne składki na cele publiczne, stowarzyszenia, czytelnie bezpłatne, ileż ich wsiąka w akcye pism polskich, teatru polskiego i innych narodowych przedsiębiorstw. W obec tych ogromnych materyalnych potrzeb, czyż nie jest naturalną rzeczą, że troska o marny grosz wielką w życiu naszem gra rolę, że chęć dorabiania się jest jednym z ważnych składników naszego patryotyzmu? Toż chcąc być u nas pożytecznym działaczem na narodowej niwie, nieustannie do kieszeni sięgać trzeba. Pamiętajmy i o tem wreszcie, że czas to także pieniądz, a społeczna i polityczna działalność niezmiernie wiele chwil naszych pochłania. Posłowie nasi wszyscy do bogaczy i kapitalistów liczyć się nie mogą, a czyż rolnika, fabrykanta lub adwokata półroczny przeszło pobyt w Berlinie nie naraża na wydatek, przerwę w pracy i zaniedbanie interesów? Wprawdzie straty te spadają tylko na nieliczną stosunkowo garstkę deputowanych, lecz obok nich mamy na miejscu cały zastęp ruchliwych działaczy, którym zebrania, obrady, komitety i różne honorowe czynności zabierają połowę życia, tak że zaledwie drugą połowę pracy na chleb powszedni poświęcić mogą. Jest nas nie wielu i potentatów pomiędzy nami niema. Tylko ogromną łączność i solidarność, niezmordowana praca i wielka oszczędność wytworzyć u nas mogą siłę, zdolną oprzeć się naciskowi niemieckiego języka i obyczaju i, najgroźniejszemu ze wszystkich nacisków niemieckiego kapitału.

O kobietach lekarzach i kobiecych kursach medycznych w Rosyi.

W 1872 r. otworzono po raz pierwszy kursa medycyny dla kobiet przy akademii medycznej w Petersburgu; zamknięto je wprawdzie po dziesięciu latach, rezultat wszakże chwilowego ich istnienia dowiódł nietylko wielkiej korzyści, ale faktycznie doniosłej potrzeby instytucyi, która, obdarzając olbrzymie przestrzenie państwa rosyjskiego zwiększoną ilością lekarzy, przyczyniła się niewątpliwie do uzdrowotnienia mas ciemnego, nieokrzesanego ludu.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że obszary Azyi środkowej zajmują głównie muzułmanie, których wiara nie pozwala kobietom w razie choroby zasięgać pomocy lekarskiej u mężczyzn, to sam ten fakt chyba usprawiedliwi dostatecznie konieczność propagandy lekarek w krajach, związanych politycznie z garstką wyznawców proroka. Jedenaście przybyłych nad Amu i Syr-Daryę na stałe

kobiet — lekarzy w krótkim czasie zdołały pozyskać zaufanie muzułmanek, wydzierając je z rąk znachorek, nadużywających częstokroć wpływu swego.

Do roku 1893 Rosya liczyła kobiet lekarek 409; z tych 245 wypadało na stolice, miasta gubernialne i okręgowe, 83 na miasta powiatowe, 81 na wsie i wioski. Największa ilość osiadła w Petersburgu, gdzie ich jest 63; w Moskwie praktykuje tylko 17, w Odessie 21. Na Królestwo polskie przypada kobiet lekarek 5; z tych 3 zdobyły liczną niezmiernie praktykę w Warszawie, a mianowicie: Dr. Anna Tomaszewicz-Dobrska i dr. Teresa Ciszkiewiczowa, wychowanki uniwersytetów zagranicznych, oraz dr. Julia Klauzińska, była studentka petersburskich kursów medycznych. Nad Bałtykiem osiadło kobiet lekarek cztery: 3 w Rydze, 1 w Mitawie. Na Kaukazie jest ich 13, z tych 7 w samym Tyflisie. Na Syberyi 7.

W 1890 roku na 24 lekarzy miejskich wypadało 15 kobiet, z których 14 pozostawało w służbie od 1882 r. Wszystkie one wywiązywały się z obowiązków swych bez zarzutu, zasługując w zupełności na uznanie władzy i zdobywając sobie ufność pacjentów, z łona których nie wychodziły nigdy skargi, lub zażalenia na nie. Świadczy to o działalności kobiet przychylnie tem bardziej, że każda z nich przyjmowała rocznie najmniej do 4000 chorych u siebie, leczyła zaś do 1100 na mieście.

W licznych urzędowych sprawozdaniach z pracy kobiet — lekarzy spotykamy gorące pochwały dla nich. Ziemstwa, wprowadzające je na służbę, ściągały wprawdzie na siebie liczne zarzuty; dowodzono im, że bawią się w liberalizm z funduszów publicznych, idąc w ślad za panującym prądem mody. Gorliwość, sumienność i pracowitość lekarek zbiła jednakowoż szybko tego rodzaju uprzedzenia. Dziś nietylko inteligencya, lecz i lud prosty oswoił się z myślą, iż wiedza medyczna kobiety może nie ustępować wiedzy mężczyzn; dawne przesądy minęły: wrota nauki winne stać otworem dla chciwych jej adeptów bez różnicy płci i wieku.

Co się tyczy tego ostatniego, to można powiedzieć śmiało, iż większość wstępujących na kursy studentek miała już po za sobą liczbę lat, w których przestaje się działać lekkomyślnie i nierozważnie, dążąc raczej za kaprysem ułudy, aniżeli za ściśle i logicznie obmyślonym celem pracy. Z 796 kobiet, które poświęciły się medycynie, w ciągu pierwszych lat ośmiu trwania kursów najmłodsza słuchaczka liczyła lat 17, najstarsza 40, przeciętną zaś dla $^2/_3$ ogółu studentek stanowiły lata od 20—24.

W początkach istnienia kursów baczono wielce, aby słuchaczki nie rekrutowały się z pomiędzy jednostek, niewytrzymałych na ciężką pracę i nieuniknione częstokroć braki twardego życia studenckiego. Skoro fakty okazały wszakże, iż do zajęć swoich studentki przystępowały z całą gorliwością, obstając przy nich wytrwale, obniżono skalę wymagań pod tym względem. Trzy czwarte słuchaczek przed wstąpieniem na kursy kończyły średnie zakłady naukowe, pomimo to wszakże podlegały ścisłemu bardzo egzaminowi próbnemu i tylko te, które zdawały go z powodzeniem, otrzymywały prawo studyowania medycyny. Z 796 słuchaczek 417 skończyło gimnazyum, 76 instytuty, 87 średnie szkoły, 216 otrzymało patenty nauczycielek domowych. Do 1877 r. liczba tych ostatnich była tak znaczną, iż równała się niemal liczbie gimnazistek (194 i 196), lecz potem żądania znacznie wzrosły. Patent domowej jedynie nauczycielki z wyszczególnieniem ruskiego języka, historyi, geografii i metematyki upoważniał do próbowania szczęścia w bardzo trudnym, niezmiernie surowym egzaminie.

Nader ciekawą i charakterystyczną stronę kwestyi wyższego medycznego wykształcenia kobiet przedstawia stanowisko towarzyskie studentek. Większość ich rekrutowała się oczywiście z pomiędzy sfer uprzywilejowanych. Na wymienianą tu ustawicznie cyfrę 796 słuchaczek wypadało mianowicie:

Żon i córek	urzędników rządowych	244
» »	kupców	138
» »	wojskowych (jenerałów i oficerów)	107
» »	lekarzy i studentów .	41
» »	przedstawicieli profesyi wyzwolonych	20
» »	duchownych	59
» »	szlachty	47
» »	niższych urzędników .	13
Mieszczek	. . . .	100
Cudzoziemek	. . . .	8
Wieśniaczek i kolonistek	. . . .	9

Cechowych i rzemieślniczek . . .	4
Niewiadomego pochodzenia . . .	1
	796
Prawosławnych w tej liczbie było .	571
żydówek	169
katoliczek	38
luteranek	17
	796

Petersburg dał 131 studentek, Moskwa 48, miasta południowej Rosyi 135, Syberya 7. gub. Archangielska 5.

Ilość kobiet zamężnych i wdów stanowiła 10,6% t. j. na 706 równała się 84. Praca bynajmniej nie odrywała studentek od życia towarzyskiego, gdyż w przeciągu lat ośmiu z 712 panien 116 wyszło za mąż.

Wysoce charakterystyczny i zaznaczenia godny jest fakt, iż zamążpójście nietylko nie przeszkadzało, lecz przeciwnie, jak najkorzystniej wpływało na postępy słuchaczek w nauce. Na 100 kobiet, kończących kursy, wypadało panien 37, 4% mężatek 33, 3%, wychodzących za mąż w czasie nauki 54%, przed skończeniem zaś usuwało się panien 26, 6% mężatek 33, 3%, poślubionych w czasie nauki 19, 8%. Niepodobna przypuścić, aby cyfry, powtarzające się stale w ciągu lat 8miu, miały być tylko przypadkowe.

Jako dowód bezsprzecznych zdolności kobiet do medycyny, oraz wytrwałej sumiennej i gorliwej ich pracy może służyć fakt, że z 956 studentek przeszło 600 zdało egzamina świetnie. Procent to znaczny, na nieszczęście, ściślejsze dane można podać jedynie za lata 1872—1880; z ogólnej liczby 796 słuchaczek umarło wtedy 18, wystąpiło z uniwersytetu dla różnorodnych przyczyn 175 i dopiero pozostała garstka przechodziła z kursu na kurs co rok, skończywszy je bez żadnych przeszkód.

Jako drugi dowód zdolności kobiet można uważać niezwykłą ich płodność na polu literatury medycznej. W ciągu lat 17stu, które upłynęły od chwili zjawienia się pierwszej partyi lekarek, kilka z pomiędzy nich odznaczyło się pracami swemi, nietylko w kraju lecz i zagranicą. Jako specyalistki w dziedzinie bakterjologji znane są panie: Baskin i Szulc, w dziedzinie hygieny: pani Pokrowska, oftalmologji — Serebrennikowa. Ginekologja i choroby dziecinne wywołały tak wielką ilość cennych prac pióra kobiecego, iż niepodobna ich wyliczyć w krótkim sprawozdaniu.

Każdy bezstronny i obeznany z medyczną, literaturą rosyjską badacz przyzna, iż stosunkowo procent znakomitych kobiet lekarzy przewyższa procent bardziej znanych i zasłużonych na wyróżnienie mężczyn doktorów. Zasługi kobiet tembardziej oceniać musimy im liczniej przedstawiają się nam trudności, jakie każda z nich ma do zwalczenia przed wstąpieniem na kursa. Na sto studentek zaledwie 25% może skończyć uniwersytet w 25tym roku życia, 40, 7% w 26tym do 28go, 22, 4% w 29tym do 35go, a 1% po latach 35ciu.

Cyfry powyższe wskazują, jak późno kobiety, walcząc z tysiącem przeszkód, mogą zabrać się do pracy; szkopuł to ważny: usunięcie go rozszerzyłoby niewątpliwie zakres studjów niewieścich.

Wspomnieliśmy już mimowoli na początku niniejszego artykułu o kobietach, zajmujących miejsca rządowe; ostatniemi laty liczba ich wzrosła znacznie, a to głównie dzięki komitetowi cholerycznemu, który rozpowszechnił ich działalność.

Z 409 zarejestrowanych kobiet — lekarzy zajmuje urzędy: lekarzy ziemstw . , . 87

lekarzy sanitarnych i rady miejskiej	13
przy szpitalach i zakładach dobroczynnych	59
zakładach naukowych	17
instytucyach rządowych	3
fabrykach	9
Towarzystwach dobroczynności . .	1
na służbie prywatnej	6
wolnopraktykujących	210
nie praktykujących zupełnie . . .	4

Jeżeli zestawimy ilościowo cyfry pracujących na urzędach publicznych mężczyzn i kobiet, to dojdziemy do wniosku, iż te ostatnie otrzymałyby znaczną przewagę, gdyby liczba ich, skutkiem zamknięcia kursów nie przerwała się raptownie. Stosunek przedstawia się mniej więcej tak, że na sto lekarzy mężczyzn i kobiet wypadło.

Ziemskich — mężczyzn 14,29, kobiet 21,21;

miejskich, rady miejskiej i sanitarnych	4,56	»	3,18
przy szpitalach i zakładach dobroczynnych .	10.39	»	14,42
przy zakładach nauk. .	1,23	»	0,73
» fabrykach . . .	2,32	»	2,20
na służbie prywatnej .	0,73	»	1,47

Pensya jaką otrzymują kobiety — urzędnicy lekarze w liczbie 195 wynosi 141 000 r.

Niestety, niektóre ziemstwa ustanowiły znacznie mniejsze wynagrodzenie dla kobiet aniżeli dla mężczyzn, tak że np. tam, gdzie przeciętna płaca mężczyzny wynosi 1315 r. kobieta otrzymuje zalewie 944 rubli.

Cyfra powyższa przypada na rok rejestracyi, kiedy praktyka kobiet — lekarzy tkwiła jeszcze w samym zarodku. Obecnie, niewątpliwie, praca niewieścia większej nabrała ceny, przyjdzie zaś chwila, w której różnice płciowe znikną pod tym względem zupełnie.

Ze wszystkich państw europejskich Rosya niemal pierwsza otworzyła wrota wiedzy medycznej dla kobiet: niestety, o ile początek był pomyślny, o tyle dalszy ciąg, prócz zastoju i odrętwienia, nie przyniósł nic za sobą. Anglia, Francya, wstępując w ślady Szwajcaryi, dowiodły, iż tamowanie kobietom wolnego wstępu do uniwersytetów nie ma racyi bytu, Rosya tymczasem bez powodu doszła do wręcz przeciwnych pzekonań, a dlaczego? niewiadomo.

Instytut kliniczny wielkiej księżnej Heleny Pawłówny. na czele którego stoi słynny profesor Afanasjew, zgromadzając rok rocznie liczne zastępy pracowników i pracowniczek dowodzi najlepiej pomyślnych skutków wspólnych dążeń płci obydwóch. Doświadczenie lat kilku wykazuje, z jak wielkiem namaszczeniem i pojęciem celów swoich kobiet stają na progu świątyni wiedzy: dlaczegoż zatem utrudniać im wstęp ten na każdym kroku.

Małe audytorja krótkotrwałych petersburskich kursów kobiecych stacone na zawsze: myśl o tem gnębi i boli nie jedną samotną, żądną pracy istotę, dla której życie zyskałoby treść i barwę, gdyby je zdołał rozjaśnić słaby bodaj promyk nauki.

POWIEŚĆ i POEZYA.

„Rozdzióbią nas kruki, wrony“.

Bajka.

Ani jeden żywy promień nie zdołał przebić powodzi chmur, gnanych przez wichry. Skąpa jasność poranka rozmnożyła się pokryjomu, uwidoczniając krojobraz płaski, rozległy i zupełnie pusty. Leciała ulewa deszczu, sypkiego jak ziarno. Wiatr krople jego w locie podrywał, niósł w kierunku ukośnym i ciskał o ziemię.

Ponura jesień zwarzyła już i wytruła w trawach i chwastach wszystko, co żyło. Obdarte z liści, zczerniałe rokiciny żałośnie szumiały, zniżając pręty aż do samej ziemi. Kartofliska, ściernie, a szczególniej role świeżo uprawne i zasiane rozmiękły na przepaściste bagna. Bure obłoki, podarte i rozczochrane leciały szybko, prawie po powierzchniach tych pól obumarłych i przez deszcz schłostanych.

Właśnie o samym świcie Andrzej Borycki, (bardziej znany pod przybranem nazwiskiem Szymona Winrycha), wyjechał z za pagórków rajgórskich i skierował się pod Nasielsk, na szerokie płaszczyzny. Porzuciwszy zarośla, trzymał się przez czas pewien śladu polnej drożyny, gdy mu ta jednak zginęła w kałużach, ruszył wprost przed siebie, napoprzek zagonów.

Przez dwie noce już czuwał i trzeci dzień wciąż szedł przy wozie. Buty mu się w rzadkiem błocie rozciapały tak misternie, że przyszwy szły swoim porządkiem, podeszwy swoim porządkiem, a bose stopy w zupełnem odosobieniu. Bardzo przemókł i przeziąbł do szpiku kości. Któżby zdołał poznać w tym obdartusie byłego prezesa najweselszej pod księżycem konfraternii t. z. śrubstaków, dawnego Jędrka, króla i padyszacha syren warszawskich? Włosy mu porosły „w orle pióra“, paznogcie „w dzikie szpony“, chodził teraz w przepoconej sukmanie, żarł chciwie razowiec ze sperką i żłopał gorzałę z taką naiwnością, jakby to była woda sodowa z sokiem porzeczkowym.

Konie były głodne i zgonione tak dalece, że co pewien czas ustawały. Nic dziwnego: koła zarzynały się w błoto po szynkle, a na drabiniastym wozie pod trochą olszowego chróstu, siana i słomy leżało samych karabinków sztuk sześćdziesiąt i kilkanaście pałaszów, nie licząc broni drobniejszej. Były to wcale niezłe szkapy: rosłe, podkasane, prawie chude, ale ze świetnej rasy pociągowej. Mogły jak nic robić dziesięć mil na dobę, byleby im pozwolić dobrze wytchnąć dwa razy i uczciwie je popaść. Konie nale-

żały do pewnego szlachetki z okolic Mławy. Stanowiły one znaczną część jego majątku, bo posiadał suma sumarum trzy szkapy, jednakże pożyczał ich Winrychowi na każde zapotrzebowanie. Ten ostatni przychodził zazwyczaj późno w nocy, stukał do okna domostwa, — wychodzili obadwaj z gospodarzem, wyprowadzali konie cichaczem, aby nie budzić parobka, wytaczali wóz i jazda! Letnią porą była to rzecz wcale łatwa, owa jazda. We dnie Winrych spał w gąszczach leśnych, a konie się pasły. Teraz niepodobna było, ani spać, ani popasać. Winrych liczył na to, że go ktoś zluzuje, zwłaszcza, że najuciążliwsze posterunki i przeszkody szczęśliwie wyminął. Ale nie takie to już były czasy... Jeżeli kto jeszcze na tej ziemi walczył w całem i zupełnem znaczeniu tego słowa, to on, Winrych. On jeden jeszcze chodził po broń, jeden nie upadał na duchu. Gdyby nie on i sama partya byłaby się oddawna rozleciała na cztery strony świata. Przez długi czas tych ludzi ściganych, głodnych, przeziębłych i wylęknionych wspierał swemi szyderczemi półsłowami i podniecał, jak chłostą. Teraz, gdy już wszystko runęło na łeb w bezdenną jamę trwogi, on się, jak to mówią, zawziął. W miarę tego, jak nie tylko do głębi nastrojów i sumień, ale do podstaw t. z. polityki rewolucyjnej wciskać się poczęła coraz bezczelniej i natarczywiej filozoficzna zasada: *fratres! rapiamus, capiamus, fugiamusque*, — on czuł w sobie upór coraz zuchwalszy, coraz straszliwiej bolesny i już prawie szalony...

Gdy tak zmoknięty, głodny i bardzo znużony brnął przy wozie, poczęło, jakoby wraz z zimnem, wsiąkać w niego uczucie nędzy. W kieszeni nie miał już ani okruszyny chleba i ani kropli wódki we flaszce. Dziurawe buty, absolutnie wzięte (jeżeli nota bene był w nich milimeter rzemienia zasługujący na to, aby był absolutnie czy tam inaczej brany), nie mogły być przyczyną owego uczucia nędzy. Nie sam głód również i nie samo zimno je wywoływało. Ale po śladach, zostawionych na błocie przez te dziurawe buty, szła za Winrychem ironia spostrzeżeń, owa bieda okrutna, co nie waha się wtargnąć do miejsca świętego świętych, co odważnie, jak plugawy lichwiarz, bierze w szachrajską swą rękę bezcenne klejnoty ludzkiego ducha i drwi z ich wartości, ubierając tę podłość w najlogiczniejsze syllogizmy.

— Wszystko przełajdaczone, — szepce Winrych, pogwizdując, — przegrane nie tylko do ostatniej nitki, ale do ostatniego westchnienia wolnego. Teraz dopiero wyleci na świat strach o wielkich ślepiach, ze stojącemi na łbie włosami i wypędzi z mysich nor wszystkich metafizyków reakcyi i proroków ciemnoty. Czego dawniej nie ważyłby się jeden drugiemu do ucha powiedzieć, to teraz będą opiewali heksametrem. Ile w człowieku jest zbója i zdrajcy, tyle z niego wywleką, na widok publiczny ukażą i ku czci, oraz naśladowaniu podadzą. I pomyśleć, że to my taki sprawiliśmy postęp wyobrażeń, ponieważ przegraliśmy...

Mocniej zacisnął pas wełniany, osłonił piersi sukmaną i ruszył dalej, zwiesiwszy głowę. Czasami ją podnosił i mówił przez zęby:

— Psy parszywe!

Deszcz ostry nacichł i siał tylko ów pył wodny, nieustanny, zawieszający tuż przed okiem jakby nieprzejrzystą zasłonę. Podmuchy wiatru szalały dokoła wozu, gwizdały między sprychami, wydymały długie poły sukmany i targały koszulę na Winrychu.

Za zasłoną mgły dał się nagle postrzedz jakiś ruch jednostajny, równoległy do ledwie widocznego horyzontu. Mógł to być szereg wozów, stado bydła, albo — wojsko.

Winrych patrzał przez chwilę, przymrużywszy powieki. Doznawał takiego wrażenia, jakby ktoś zagiął palec pod żyłę krwionośną w jego piersiach i wydzierał ją nazewnątrz.

— Moskale... — wyszeptał.

Dał koniom po siarczystym bacie, ściągnął lejce, zawrócił prawie na miejscu i zaczął uciekać. Nie chciał, a raczej nie mógł odwrócić głowy, ażeby się obejrzeć po za siebie i zbadać, co się tam dzieje. Zdawało mu się, że umknie na bok niepostrzeżony. Nieszczęście chciało, że miejsce było gołe i puste w promieniu wiorst kilku.

Uciekający wóz spostrzeżono. Z szeregów postępującego wojska odłamała się grupa jeźdźców, wysunęła przed front i pomknęła, co koń skoczy. Winrych, patrząc już na to zjawisko, nie mógł zrozumieć, czy ci ludzie sadzą ku niemu, czy się oddalają w kierunku przeciwległym. Dopiero, zobaczywszy

chorągiewki przy schylonych lancach i łby końskie, zorjentował się dobrze. Wtedy krew szarpiąca się w jego pulsach — jakby stężała i stanęła w biegu... Zatrzymał konie, omotał dokoła luśni parciane lejce i namyślał się, co wywlec z wozu do obrony: — pałasz, czy sztucer nienabity?

Zanim wszakże cokolwiek przedsięwziąć zdołał, machinalnie zbliżył się do zmordowanych koni swoich i zaczął jednemu z nich zdejmować kantar ze łba i ściągać chomąto, jakby z zamiarem puszczenia na wolność tych towarzyszów niewoli. Czyniąc to, na chwilę przytulił się do szyi końskiej i westchnął.

Ośmiu ułanów rosyjskich na pięknych koniach dopadło wozu i w mgnieniu oka ze wszystkich stron go otoczyło. Jeden z nich, nie mówiąc ani słowa, począł zrucać lancą suche gałęzie oraz snopki kłoci i sondować głąb wozu.

Gdy grot dźwięknął, uderzywszy o lufy sztucerów, — żołnierz poklepał Winrycha po ramieniu i mrugnął na towarzyszów. Tamci sięgnęli po karabinki, założone na plecy. Winrych stał na miejscu, jak przedtem, obejmując ramieniem karb konia. Usta mu się skrzywiły wzgardliwie i w sercu zsiadło nie to męstwo, lecz pogarda bezbrzeżna, pogarda wszystkiego na tej ziemi.

— Ty do czyjej partyi to wiozłeś? — zapytał go ów rewidujący.

— Głupiś! — odrzekł Winrych, nie podnosząc głowy.

— Do czyjej partyi to wiozłeś? Słysz, polaczyszka!

— Głupiś!

— To nie chłop, — rzekł do podwładnych starszy z naszywką na ramieniu, — to powstaniec.

— Głupiś! — rzekł Winrych, patrząc w ziemię.

— Bierz psiego syna! — wrzasnął żołdak.

Dwu z nich odsadziło się natychmiast o kilkadziesiąt kroków i szybkim ruchem nastawiło lance poziomo. Skazany spojrzał na nich, gdy mieli ukłuć konie ostrogami, i zaraz, jak małe dziecko zasłaniając głowę rękami, cichym, szczególnym głosem wymówił.

— Nie zabijajcie mnie...

Zerwali się w skok z miejsca zgodnym susem i wraz go przebili. Jeden ohydnie rozpłatał mu brzuch, a drugi złamał dekę piersiową. Trzeci ułan odjechał o kilkanaście kroków i gdy dwaj pierwsi, wyrwawszy lance i splunąwszy, usunęli się na bok, wziął na cel głowę powstańca. Pociągnął za cyngiel wtedy właśnie, gdy nieszczęsny zsunął się w brózdę. Kula, przeszywszy czaszkę naręcznego konia, zabiła go na miejscu. Zwierzę stęknęło żałośnie i padło bez tchu na nogi konającego Andrzeja. Żołnierze zsiedli z koni i zrewidowali puste kieszenie sukmany. Rozgniewani o to, że Winrych wypił wszystką gorzałkę, rozbili butelkę na jego czaszce i podarli mu ostrogami policzki. Na głos sygnału, wzywającego ich do powrotu, wskoczyli na siodła i, nabrawszy z wozu po kilka sztuk dobrych pałaszów belgijskich, odjechali za oddziałem, który zanurzył się już we mgłę i szarugę. Dowódca szwadronu ścigał forsownie jakiś topniejący oddziałek powstańczy, to też nie miał czasu zawrócić po broń, zostawioną w polu na wozie Winrychowym.

Tymczasem deszcz rzęsisty puścił się znowu i na małą chwilę ocucił powstańca.

Powieki jego, zaciśnięte przez ból i popłoch śmiertelny, dźwignęły się i oczy po raz ostatni zobaczyły obłoki. Usta mu drgnęły i wymówiły do tych chmur szybko pędzących ostatnią myśl:

— ...Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom..

Wielka nadzieja nieśmiertelności ogarnęła umierającego niby przestrzeń bez końca. Z tą nadzieją w sercu umarł.

Głowa jego wygniotła w błocie dołek, do którego teraz spływać poczęły maleńkie strumyki i tworzyły coraz większą kałużę. Krople, trzepiąc w nią, wzbijały duże, wysoko wzdęte bańki, rozpryskujące się w nicość tak szybko i zupełnie, jak ludzkie święte złudzenia. Zabity koń stygł szybko na zimnie, a pozostały przy życiu szarpał się w zaprzęgu tak gwałtownie, jakby go kto smagał rzemiennym batem. Nagle przechylił się przez dyszel, przez martwego towarzysza i obwąchał głowę Winrycha. Skoro poczuł trupa, ślepie mu krwią nabiegły, grzywa na karku wzburzyła się dziko, szarpnął się w tył, potem cisnął naprzód całym korpusem, bił nogami w ziemię i wierzgał na wszystkie strony w takiej furyi, że tylna jego noga wpadła między sprychy przedniego koła wozu. Szarpnął ją z całej

mocy i okropnie złamał powyżej pęciny. Ból wprawił go we wściekłość tem większą. Rozjuszony, wściekłemi skokami rzucać się począł. Kość pękła na dwoje w taki sposób, że ostry i jak nóż spiczasty jej kawałek przebił skórę i coraz bardziej, wskutek targania, ją okrawał.

Dopiero nazajutrz rano pluchota bić przestała, choć wiatr wcale nie ucichł. Chmury leciały wysoko, poprzedzielane głębiami cieniów o kształtach dziwacznych. Pod wiatr i jakby na spotkanie obłoków ciągnęły już stadami, już pojedyńczo kruki i wrony. Podmuchy wichrów odnosiły je i odpychały na powrót, nieraz zabawnie wyłamywały im skrzydła do góry, albo kamieniem ciskały ku ziemi. Nad padliną w polu leżącą ptactwo krążyć poczęło, zniżało lot usilnie i po długiem mocowaniu się z wichurą siadało na zagonach zdaleka.

Koń żyjący wciąż stał ze złamaną nogą, zamkniętą między sprychami. Wyciągnąć jej dla wielkiego bolu już nie usiłował. Obnażona kość przy każdem poruszeniu zaczepiała się o drzewo i krajała skórę.

Ujrzawszy wrony, powolnemi kroki, z nogi za nogę postępujące ku wozowi, koń zarżał. Zdawał się wołać na ludzi osiadłych na plemię ludzkie.

— O ludzie nikczemni, o, rodzie występny, o, plemię morderców!...

Krzyk ten rozlegał się nad pustą okolicą i ginął w szalonym głosie wiatru, tylko na chwilę wstrzymując postęp trupojadów. Wrony z wielką rozwagą, taktem, statkiem, cierpliwością i dyplomacyą zbliżały się, przekrzywiając głowy i uważnie badając stan rzeczy. Szczególnie jedna zdradzała największy za sób energii, żądzy odznaczenia się, czy nienawiści. Było to może zresztą, poprostu namiętne odczuwanie interesów własnego dzióba, i żołądka czyli, jak przywykliśmy mówić, o d w a g i. (co „było dawnej paradoksem, ale w nowszych czasach okazało pewnikiem“...) Przymaszerowała aż do nozdrzy zabitego konia, z których sączył się jeszcze sopel krwi skrzepłej, okrytej błoną rudawą. Bystre i przenikliwe jej oczy dojrzały, co należy. Wtedy bez namysłu skoczyła na głowę zabitej szkapy, podniosła łeb do góry, rozkraczyła nogi, jak drwal, zabierający się do rąbania, nakierowała dziób prostopadle i jak żelaznym kilofem palnęła nim martwe oko trupa. Za przykładem śmiałej wrony ruszyły się jej towarzyszki. Ta preparowała żebro, inna szczypała nogę, jeszcze inna rozrabiała ranę w czaszce. Najbardziej przecież ze wszystkich odznaczyła się ta — (należy jej się tytuł wrony „tej miary“), co zapragnęła zajrzeć do wnętrza mózgu, do siedliska wolnej myśli i zupełnie je zeżreć. Ta wstąpiła majestatycznie na nogę Winrycha, przemaszerowała po nim, dotarła szczęśliwie aż do głowy i poczęła dobijać się zapamiętale do wnętrza tej czaszki, do tej ostatniej fortecy polskiego powstania.

Nim wszakże skosztowała warcholskiego mózgu i zdążyła osiągnąć t. z. tytuł do sławy, spłoszył ją nowy przybysz, co zbliżał się niepostrzeżenie, chyłkiem, podobny do dużej, szarej bestyi. Nie był to wcale poetyczny s z a k a l, lecz człowiek ubogi, chłop z wioski najbliższej. Na działku, który odtąd miał do niego należeć na zawsze, znalazły się trupy, — szedł tedy zabrać je stamtąd.

Bał się srodze Moskali, to też prawie pełzał na czworakach. Paliła go żądza poucinania rzemieni i podniecała słodka nadzieja znalezienia jeszcze, pomimo lustracyi żołnierskiej, żelaztwa, postronków i odzieży na trupie. Stanąwszy wreszcie nad zwłokami Winrycha, począł kiwać głową i wzdychać, — potem ukląkł na ziemi, zdjął kaszkiet, przeżegnał się i zmówił głośno pacierz.

Wyrzekłszy ostatnie *amen* już z błyskiem pożądliwości w oczach, rzucił się przedewszystkiem do kieszeni i zanadrza i począł szukać trzosa. Nic tam już nie znalazł. Obdarł tedy trupa z sukmany, szmat zgrzebnych, zzuł mu buty, zabrał nawet zbłocone onuczki, owinął temi łachmanami część broni i szybko się oddalił. Po upływie godziny wrócił, aby zabrać resztę zdobyczy. Około południa przyprowadził parę koni i wyprzągł konia kalekę. Obejrzawszy jaknajstarannej jego przetrąconą nogę, przyszedł do wniosku, że jest zepsutą zupełnie. Trzeba było szkapę na nic nie zdatną udusić. Założył jej też nie zwlekając linkę na kark, przywiązał ją do wagi od orczyków, wlokącej się za parą jego koni, plunął w garść i popędził je, tnąc z całej mocy Konie nagle szarpnęły, pętlica zdusiła gardziel skazańca i zwaliła go na ziemię. Za chwilę jednak moriturus zerwał się i pobiegł cwałem za ciągnącą go parą, stąpając

ostrym szpicem nagiej piszczeli po błocie i po kamieniach.

Chłop spojrzał i aż zakrył sobie oczy z obrzydzenia. Zaraz odwiązał linkę i dał pokój egzekucyi. Zaprzągł konie do wozu i odjechał. Po południu zjawił się z kozikiem i zdjął skórę z konia, zastrzelonego przez ułanów. Została tylko do usunięcia skóra na koniu jeszcze żywym. Chłopowina medytował, roztrząsał sprawę i rozpatrywał ją z rozmaitych punktów. Mógłby zdechleka zarżnąć kozikiem i załatwić całą rzecz za jednym zamachem, ale nie chciało mu się „paprać“ moralnie i fizycznie. Z drugiej strony — bał się nie na żarty, aby ktoś w nocy nie zakradł się cichaczem, nie zatłukł szkapy i skóry z niej nie ściągnął. Koniec końców, tknięty jakimś skrupułem, rzekł do leżącej:

— Ej — a dychaj se tu.. I tak na jutro na rano kopyta wyciągniesz. Spracowałem się! Pan Jezus miłosierny pobłogosławił mnie grzesznemu... Może i nikt nie widział, może i nie przyjdzie po skórę. Dobre i to. Dychaj se tu, niebogo, dychaj...

Na uboczu względnie do tego kierunku w jakim zdążał Winrych były w równem polu doły kartoflane. Ponieważ okazało się, że grunt przepuszczał wodę do wnętrza tych dworskich piwnic zimowych, więc przeniesiono się w inne miejsce, a jamy owe chwastem zarosły. Krzaki berberysu zagaiły ich dno i ściany. Belki ocembrowania pozapadały się wraz z bryłami gliny, tworząc lochy i katakumby, pełne teraz wodnistego błota. Do jednej z tych dziur zaciągnął włościanin nad wieczorem trupa powstańca i zwłoki konia, obdartego ze skóry. Zepchnął je pospołu do jednego lochu, uwikłał żerdzią między dylami i zielskiem i narzucił z wierzchu trochę gliny, aby tego żeru wrony nie wytropiły.

Tak bez wiedzy i woli zemściwszy się za tylowieczne niewolnictwo, za szerzenie ciemnoty, za wyzysk, za hańbę i za cierpienie ludu, szedł ku domowi z odkrytą głową i z modlitwą na ustach. Dziwnie rzewna radość zstępowała do jego duszy i ubierała mu cały widnokrąg, cały zakres umysłowego objęcia, całą ziemię barwami cudnie pięknemi. Głęboko, prawdziwie, z całej duszy wielbił Boga za to, że w bezgranicznem miłosierdziu swojem zesłał mu tyle żelaztwa i rzemienia..

Nagle w śmiertelnej ciszy jesiennego zmroku przeleciało nad ziemią rozpaczliwe końskie rżenie. Chłop się zatrzymał i, nakrywszy oczy dłonią od blasku, patrzał pod zachód słońca.

Na tle zorzy liliowej widać było konia, wspartego na przednich nogach. Motał łbem, wykręcał go w stronę grobu Winrycha i rżał.

Trzepały się nad tym żywym trupem, wzlatywały, spadały i krążyły wron całe gromady. Zorza szybko gasła. Zza świata szła noc, rozpacz i śmierć.

Maurycy Zych.

Malarz z Poręby.

Obrazek z życia ludu galicyjskiego.

napisał *Kroć.*

(Ciąg dalszy).

Franek pasł właśnie owcę i na deszczułce smarował nowe jakieś arcydzieło, gdy w tem krzyk zbliżających się ludzi, zwrócił jego uwagę: odwrócił więc oczy, spojrzał poza siebie, aż tu z czterdziestu ludzi wali od cmentarza, prostą drogą do niego. Przeląkł się i, dygocząc ze strachu, zerwał się z miejsca, rzucił deszczułkę i puścił się co tchu do chaty.

— O! patrzcieno jak ucieka?

— Trzymajcie go!

— Poczekaj złodzieju! poczekaj!.. — zaczeli wołać ludzie i wywijać pięściami.

Franek zadyszany wpadł do chaty. Matka przyszła właśnie z pola i kładła pieniądze do garnka, gdy wtem, głos Franka, widok zapłakanego syna, przeraziły ją niezmiernie.

— Matuś! matuś!.. — krzyczał Franek, tuląc się do niej.

— Co ci jest takiego? oszalałeś głupcze? wołała matka, kręcąc się za nim.

— Ratujcie bo idą!.. zabiją!..

— Kto idzie? co ci jest? czy ci się co złego czepiło?.. — pytała zdziwiona Marta, nie rozumiejąc syna, który się chował za jej spódnicę i drżał cały ze strachu. — Kto idzie? mówże mazgaju! — powtarzała. Ale Franek drżał tylko cały i okręcał się naokoło niej, jak groch na tyce.

— Ludzie idą . oj, ojoj!.. będą bili... ojoj matuś! patrzajcie za okno.. idzie Wa!.. o tam, o tam! — i pokazywał ręką.

— Marta spojrzała za okno, oczy stanęły jej słupem, patrzała i nie wiedziała co to wszystko znaczy. Tyle ludzi z krzykiem i z wrzaskiem, który już do izby dolatywał zbliżało się do jej chaty. Na przedzie szedł Walenty i kij podniósł do góry. Marta zbladła. Odleciała od okna, zamknęła drzwi na rygiel, skoczyła później do łóżka, zdjęła obraz wiszący na ścianie, pocałowała go sama i przyłożyła do ust Frankowi, który latał za nią i płakał.

— Zabiją nas teraz matuś?.. co?..

— Zacóżby zabijali?. przecieżem dziś nie paliła. — Jeszcze tych słów nie dokończyła, gdy tłum ludzi otoczył chatę, jedni patrzeli przez okna, drudzy weszli do sieni i dobijali się do zamkniętych drzwi.

— Puszczaj!. — wołał Walenty. —

— Puszczaj! bo wywalimy drzwi — krzyczano zewsząd.

— Co wy chcecie ludzie? bójcie się Boga żywego! — wołała Marta płacząc.

Śmiechy i krzyki przygłuszyły jej słowa.

— Otwieraj! — wrzeszczał Walenty i uderzył kijem w drzwi, aż się chata zatzęsła cała. — Otwieraj!. powtórzył i szarpnął drzwiami, aż zzawias wyskoczyły. Kilkunastu wpadło do izby. Marta rozkrzyżowała ręce a Franek tulił się do niej i ciągnął ją w tył.

— Co wy chcecie od nieszczęśliwej kobiety? — pytała.

Walenty i dwoje innych złapali ją za ręce i pociągnęli za sobą, przyczem oberwała kilka szturchańców, gdy się iść opierała.

— Niby nie wiesz, czarownico, o co idzie? — pisnął jej Walenty za uchem.

— Nie wiem — jak mi Bóg miły, nie wiem? — wołała. Żebym padła na miejscu! I przyklękła, składając ręce.

— To się dowiesz u wójta! — tyle jej powiedział Walenty, ciągnąc za sobą.

Wnet poprowadzili ją z dzieckiem przez sam środek wsi do mieszkania wójta, bo księdza nie było w domu. Marta na wpół żywa, nie wiedząc, co chcą ci ludzie od niej, popychana z tyłu, dowlokła się do chaty Józefa Wierzbołka.

Oburzenie w całej wiosce było ogromne, mało jaki głos znalazł się we wsi, który popychaną, omdlałą Martę, chciałby wziąć w obronę. Zakrzyczanoby go zaraz... A przecież ten lud z tej wioski, znany był ze swej poczciwości; ciemnota jedynie nie dozwalała mu pozbyć się tej największej ludzkiej wady — przesądu! Powiedziano w wiosce, że Marta złodziejka, i szło to z ust do ust, z ojca na syna i nic tej kobiety usprawiedliwić nie zdołało przed ludźmi — bo ogół inaczej sądził. Znalazł się czasem ktoś, co powątpiewał o jej winie, zanimby ją osądził, zażądałby dowódów na jej zbrodnię, ale głośno przed innymi bał się występywać z tem — bo ogół inaczej myślał.

Kto nie chce iść przeciw wiatrowi — idzie z wiatrem. I tem tylko wytłomaczyć sobie można, dla czego ta cała wieś tak wrogo do Marty się odnosiła; przecież żyli we wsi inni źli ludzie, a wszystko skrupiało się na niej. Jeżeli kto dotąd wahał się wydać wyrok na Martę, to dzisiaj, gdy jej świętokractwo udowodnionem zostało (?), w obec całej sprawy, musiał przejść na stronę jawnych oskarżycieli nieszczęśliwej kobiety. Przesąd ludu, którego w wiosce nikt dotąd nie starał się zwalczać, nabrał teraz pewnej realnej podstawy i oparcia, na dopiero co zaszłym smutnym wypadku.

Martę wprowadzono do wójta. Wójt wiedział już o całej sprawie, wchodzącą kobietę zmierzył od stóp do głowy przenikliwym zwrokiem i zapytał po prostu.

— Przyznaj się albo będzie źle z tobą... jakem wójt, mówię ci, przyznaj się!

— Przyznam się, ale powiedźcie do czego, odpowiedziała spokojnie Marta.

— Do czego? niby nie wiesz — nie udawałabyś gadzino!

Marta milczała. Walenty ją szturchnął.

— Ono byś gadała przed panem wójtem.. jak na spowiedzi!

— Nie ma jenteresu z nią gadać, zamknąć do kozy i kwita, kiedy nie chce mi odpowiadać. Sprawa skończona... Radny Wakuła zamknie podsądną i basta! — zawyrokował wójt Wierzbołek.

Płaczącą Martę ze synem, poprowadzono do przyległej chałupy i zamknięto w ciemnej izbie. Dano im na noc chleba i wody trochę. Marta nie jadła tylko pytała siebie.

— Co oni chcą odemnie? zlitujże się Boże!... bo mi ciemno w oczach.

Franek popłakiwał czasem, trząsł się od zimna, ale chleb ćwiczył, bo od obiadu nic nie jadł, a chleb był widać lepszy, jak w do-

mu, bo bielszy i nie taki suchy. Skoro zaś widział, że matka się uspokoiła, zapytał ją.

— Matuś! nie zabili nas?.. dobrzy ludzie!..

— A bez co by mieli zabijać?

— A bo tacy źli byli na nas, pewnie o to, żem im te krzyże pomalował na cmentarzu. Matuś! a jeden gospodarz mówił do mnie: »Poczekaj łotrze, pomaluję ja ci skórę«... — i nie pomalował.

— Coś zrobił Franek? — spytała go matka, bo nie uważała, co mówił.

— Nic! przerwał — przecież wiecie, com to koralowiną tak pisał po deszczułce, a to i na krzyżach tak samo ładnie...

Teraz dopiero zrozumiała Marta, o co tu idzie. Poczerwieniała całkiem.

— Więc to przez ciebie złodzieju?!.. tyś mi zgotował tyle nieszczęcia, a mówiłam — wołała: — Franek! Franek strzeż się ludzi, nie kradnij bo będzie źle! — i uderzyła go pierwszy raz po plecach, aż się znów rozpłakał.

— Przecieżem nie kradł, ino...

— Ino coś jak nie kradł? — to gorzej, boś Boga obrażał psi synu!...

— Nie Bogam obrażał, inom malował jak Urban Grządziela...

Marta wiedziała już teraz, o co tu chodzi, ale nie wiedziała jak złemu zaradzić.

Nazajutrz odbył się sąd u wójta. Marta stanęła ze synem i na powtórne zapytanie wójta: czy się przyzna do winy sama? — odpowiedziała, że teraz dopiero wie o co rzecz idzie, bo syn się jej przyznał, że krzyże smarował na cmentarzu.

— Cóżem winna, panie wójcie, że mój Franek taki głupi? — dodała w końcu, zwracając się do siedzącego wójta.

— Winnaś babo, żeś taką poczwarę narodziła... — z powagą odpowiedział wójt.

— Widzisz Franek, coś mi narobił o! nieszczczęcie moje — wołała do syna. — Ale Franek zwróconą miał teraz całą uwagę na małego Jaśka wójtowego, który zajadał ze smakiem białą bułkę, jaką mu matka z jarmarku przywiozła.

Wójt i dwóch radnych naradzało się teraz co zrobić z całą tą sprawą. Radny Wakuła był przedtem u proboszcza i ten im doradził, żeby kobiety nie karali bo nie winna w tej sprawie nic, a przynajmniej bardzo mało, niechaj tylko przyjdzie do spowiedzi i ofiaruje coś na chwałę Bożą. — Franka, żeby popamiętał mogą ukarać rózgami, krzyże zaś na cmentarzu kazać odmalować no nowo, a co będzie kosztować, Marta powinna zapłacić, jeżeli ma z czego.

Tak się też stało. Marta poszła najbliższej niedzieli do spowiedzi, wszystkie zaś pieniądze, jakie miała ze żniw uzbierane, oddać musiała na odnowienie cmentarza; jeszcze jej brakło. Franek dostał rózgami, napłakał się trochę, ale nic mu się złego nie stało — pytał się tylko matki jak powrócili do domu, czy i Grządzielę tak bili jak malował?

Ciężka to zima była dla Marty do przebycia, pieniędzy nic jej nie zostało, musiała owcę sprzedać, chociaż Franek płakał po niej trzy dni całe; przędła też trochę, co im na chleb skromny wystarczyło.

Franek przez całą zimę siedział w izbie a jak wspomniał tylko na ten obraz Grządzieli na cmentarzu, na te swoje malowidła, na tych wandali, co mu zniszczyli, to mu się tak smutno robiło, że nie wiedział, co robić ze sobą; węgla przecież bał się brać do ręki, bo zapamiętał teraz już dobrze siódme przykazanie! — Raz przecież pokusa w nim przemogła i mazał coś na ścianie w izbie. Nieszczęście chciało, że matka na to nadeszła, a złapawszy go na gorącym uczynku z węglem w ręku, przestraszona wyrwała mu go, a nałajawszy porządnie, obiła, mówiąc, żeby mu odeszła pokusa do złego.

Właśnie któregoś dnia we wrześniu skończył już Franek lat dziesięć. Świata nie znał, do szkoły nie chodził, ludzie go odpychali i z pewnością takim, jakim się urodził, umarłby w Porębie, gdyby nie dziwny zbieg okoliczności, który pokierował jego losami troszkę odmienniej — bo nie możemy powiedzieć, że lepiej.

Tej samej jesieni przybył do Poręby nowy nauczyciel do miejscowej szkoły ludowej. Byłto młody Adam Zawada. Szkoły i seminaryum skończył we Lwowie. Z prawdziwem poświęceniem rzucił się do obranego zawodu; pracować na tej niwie jako cichy i niestrudzony pracownik, przychodzić biednym z pomocą, oświecać ich i nieść im dobrą radę przy każdej sposobności, postawił sobie za cel życia i zdążał do niego szybkim krokiem — bo życie zdawało się od niego uciekać. Z szlachetnej twarzy młodzieńca, przebijał pełen wyraz zadowolenia, co każdego zjednać sobie potrafi na wstępie. Objąwszy posadę nauczyciela w Porębie, za-

brał się zaraz do pracy; dostrzegł odrazu, że wiele w tej wsi przy usilnej pracy zrobić będzie można — a to dodawało mu otuchy. Widział w miejscowym ludzie grunt dobry, poczciwy, ale odłogiem stojący; nie było człowieka co by przez lat tyle baczniejsze w tę stronę zwracał oko i przychodził często z pomocą i poradą, gdzieby trzeba było. Ani dwór, ani ksiądz, nie troszczyli się o to; całe teraz brzemię pracy spadło na cichego pracownika. Zawada widział dwie kardynalne zakorzenione wady w włościaninie porębskim: brak zaufania we własne siły i poleganie na zdaniu cudzem, zdawna utartem; pierwsze, wyrodziło zupełny brak energii, drugie, — przesąd. Postanowił więc sobie obok specyalnego nauczania, obudzić w ludzie tutejszym z jednej strony, poczucie własnej godności, — z drugiej, starać się o podniesienie materyalnego dobrobytu, przez szerzerzenie znajomości gospodarstwa wiejskiego i przedsiębiorczego ducha — Głównym motorem jego wzniosłych idei, miało być młode pokolenie, które pod własnem okiem wykształcić postanowił. Na samym wstępie był świadkiem przykrej sprawy z Martą i jej synem, ale że to było w kilka dni po jego przyjeździe, nieznany zupełnie, nie mając żadnego jeszcze wpływu, nie potrafił zaradzić złemu; w każdym jednak razie, na Martę i jej syna zwrócił pilniejszą uwagę, a w krótkim czasie, poznawszy jej niewinność i smutne położenie w jakiem się znalazła, postanowił przyjść jej z pomocą. Nad wieczorem pewnego listopadowego dnia wybrał się na spacer w stronę cmentarza, z powrotem wstąpił do Marty.

Marta przędła właśnie przy bladem, kopcącem świetle tłuszczowej lampki, gdy kroki jakieś i stukania w drzwi usłyszała... zbladła, spuściła ręce, a oddech jej przytłumił się wpiersiach. Franek przeląkł się także i drżał ze strachu, patrząc na zmienioną twarz matki.

— Miałoby znowu co być nowego?.. — pytała sama siebie po cichu, a wargi jej dygotały jak od zimna... — Kto tam?.. spytała głośniej i oczy we drzwi wlepiła, w które wszedł właśnie Adam Zawada.

— Pochwalony! dał się słyszeć głos wchodzącego.

— Na wieki... wieków... — wyjęknęła zdziwiona Marta.

Od tylu lat pierwszy raz zobaczyła człowieka, który ze spokojem wszedł do jej chaty i po chrześcijańsku ją przywitał. Przychodzili ekonom i ludzie, ale na to tylko, aby jej drzewo wziąć i zaskarżyć ją do sądu; przychodził żandarm często, ale nato, aby zrewidować czy czego nie ukradła; przyszli wreszcie ludzie z wioski, ale na to chyba, aby ją do wójta poprowadzić i o świętokractwo oskarżyć przed księdzem. A teraz po dziesięciu latach, pierwszy przyszedł człowiek, co jej na wstępie złego słowa nie powiedział, ale poczciwie przywitał. — Czegoby chciał? pytała, nie dowierzając sama sobie, a lekki rumieniec zaczął jej się zarysowywać na twarzy.

Nie bójcie się kobieto — rzekł Zawada, widząc ją zmieszaną, a głaszcząc Franka po główce, dodał — przechodząc koło chaty wstąpiłem po drodze, aby was odwiedzieć Marto.

Marta płacząc upadła mu do nóg i chciała całować go, jak anioła, co jednem słowem pokój wzniósł do zbolałej duszy, ale Zawada usunął się i prosił, aby wstała.

— Paniczu mój drogi... — mówiła płacząc Marta — myślałam, że już umrę taką, jaką żyłam dotąd... czy mogłam przypuścić, że są ludzie, których nieszczęście drugich obchodzi? — Ten kto ci potrafi... niech ci zapłaci za to. — I rozpłakała się w głos.

Zawada siadł na ławie, którą Marta z pod ściany przysunęła i prosił ją, aby obok niego usiadła. Franek stanął na boku i ze zdziwieniem przysłuchiwał się ich rozmowie. Wpatrywał się w lica poczciwego pana, który przyszedł, a przecież nic im złego nie robił, tylko rozmawiał z niemi tak, jak on z matką; to też mu zaraz przed oczami stanęła podobna twarz, jaką widział na obrazie Grządzieli. — Rozmowa szła długo ożywiona. Marta wynurzała się szczerze ze wszystkiego; mówiła o mężu, o dorobku i o synie.

— Więc wasz Franek kończy lat dziesięć? — spytał Zawada, gdy o Franku była mowa, a odwracając się do chłopaka zawołał: Franek! chodźże tu do mnie, niech się dowiem, coś ty robił przez tyle lat?

Chłopak przyszedł z ochotą, niebieskie, duże oczy zaświeciły mu się z pod powiek; a gdy go Zawada pogłaskał po wyniosłem czole i zapytał znowu.

— No mówże!... coś robił? — odpowiedział naturalnym głosem.

— A nic! proszę pana.

— Jakto nic, coś musiałeś przecie robić?

— A... pasałem owce co ją matuś sprzedali... jadłem... a teraz pomagam matce przy kołowrotku.

— No, a do szkoły toś nie chodził? — zapytał matki.

— Gdzieby go tam paniczu przyjęli do szkoły, a zresztą ktoby mu tam sprawił atrament i bibułę?

— Oto mniejsza — przerwał Zawada — szkoda że chłopak nie chodził do szkoły, był czas — a widząc po czole i oczach, że musi być zdolny i sprytny, zapytał go posadziwszy na kolanach.

— Masz chęć Franku chodzić do szkoły?

— Franek wzruszył ramionami, bo jakkolwiek wiedział, że jest szkoła we wsi, ale nie wiedział, co tam dzieci robią?

No! jakto nie masz ochoty? dowiedziałbyś się o świecie, o ludziach, nauczyłbyś się czytać, i pisać — ha! i malować ładniej jak na krzyżach. — Frankowi, gdy Zawada mówił o malowaniu, oczy się zaiskrzyły, rumieniec oblał twarz całą; z pod oka tylko spoglądał, nie dowierzając, to na matkę, to znów na profesora, jakgdyby chciał zapytać.

— A nie będą bili za to?.. Marta też nie rozumiała ostatnich słów przybyłego — miałżeby on namawiać jej Franka do kradzieży? Co jak co, ale na to, to już nie pozwoli.

— O nie mój panie! — odpowiedziała za Franka bez namysłu — Franek obiecał mi, że już tego więcej nie będzie robił, bo inaczej to bym go biła jak nie swojego. Nie chcę mieć syna złodzieja — dodała w końcu.

Zawada zgłupiał. Coby to wszystko miało znaczyć, nie mógł z razu zrozumieć; dalsza dopiero rozmowa przekonała go, o co tu właściwie rzecz idzie. Wytłumaczył więc obojgu, że to dwie wręcz przeciwne rzeczy — kraść a malować; chociaż za obie rzeczy czasem ludzie biją.

Rozmowa pociągnęła się jeszcze z pół godzinki. Stanęło na tem, że Franek od jutra miał już codziennie przychodzić do szkoły, a papier i książki sam Zawada obiecał mu dostarczać, żeby tylko się uczył i korzystał. Po chwili wyszedł. Marta dziękowała mu ze łzami w oczach za tyle dobroci i serca.

Na drugi dzień, Franek rano poszedł do szkoły; zpoczątku było mu smutno, bo inni chłopcy odpychali go od siebie i wołali wciąż na niego drugiem imieniem: »Franek złodziej!..« — skoro jednak o tem dowiedział się nauczyciel, skarcił napastników a Franka szczególniejszą otoczył opieką. Chłopiec wziął się z zapałem do nauki, był najzdolniejszym uczniem w całej szkole, pojmował wszystko prędko a i pamięć miał doskonałą; cechowała go przytem ta ciekawość do wszystkiego, co mu spocząć nie dała, ale pchała ciągle dalej w nauce. Do roku nauczył się czytać, pisać nie źle, zaczął już nawet rachować. Przyszedł egzamin z końcem roku; w obec księdza i zdumionych włościan »Franek złodziej« najlepiej odpowiadał i dostał pierwszą nagrodę. Przecież znaleźli się tacy ludzie, który z tego wnioskowali, że Franek ojca w rzemiośle prześcignie. — Zawada inaczej sądził, jakkolwiek przypuszczał, że ludzie i na to pozwolić mogą; sam przecież nie spuszczał Franka z oka, widział w nim rozwijające się w z dniem każdym co raz bardziej zdolności, więc też i więcej pracy dokładał, więcej czasu i dobrej woli poświęcał mu. Przechodził z nim osobno historyę i geografię, gdy się już bardziej rozwinął, czytał mu różne ciekawe książki, wykładał początki nauk przyrodniczych — co Franka nadzwyczaj zajmowało; a skoro zobaczył w nim ogromne zdolności do rysunków, kilka godzin w tygodniu poświęcił mu i nie bez korzyści, bo Franek w samych początkach zdradzał już niepospolity talent. Jakoż to była radość chłopaka, gdy z końcem trzeciego roku w nagrodę pilności od swego nauczyciela, dostał pudełko z farbami. Całe kajeta teraz zarysował widokami z rodzinnej wioski: kościół parafialny ze swoją połyskującą wieżą i z dzwonnicą na boku drewnianą, grób Grządzieli, obrośnięty przez kwiaty do koła, szkoła do której chodził, chata matki w której się urodził — wszystko to było tam z całą wiernością oddane; ale najlepiej już, to obrazek na ostatniej stronicy wymalowany a przedstawiający »Widok z Wilczej góry na Porębę«. — Tu mógłby już każdy śmiało dostrzedz talent — artysty.

Matka Franka nie posiadała się z radości, jak widziała tego chłopaka co z dniem każdym wyrastał na człowieka. Rozpłakała się i przytuliła go raz do łona, gdy w dniu

jej imienin ofiarował jej obraz przez siebie malowany, przedstawiający św. Martę jej patronkę.

Nie długo jednak trwały te dni szczęścia. Zawada przewidywał te chwilę, która przyjść musiała kiedyś: Franek ukończył szkołę w Porębie, zrobił postępy o jakich sam nauczyciel nie myślał, rysunki jego zdradzały prawdziwy talent — ale cóż z tego? — Cóż miał dalej robić? — gdzie iść? — o czem?.. kto miał mu pomódz?.. — Te i tem podobne zapytania, snuły się do głowy Zawady — ha! i Franek nie długo zobaczył, że doszedł tam, gdzie głową muru już nie przebije. Przed nim stał świat otwarty, ale gdy chciał krok jeden zrobić, drzwi przed nim ciężkie zapadały. Pytał: dlaczego mu tam nie wolno iść?.. ale jeszcze nie umiał widać sobie odpowiedzieć. *Contra plures nec Hercules!..*

Jakiż to był już inny ten Franek, gdy skończył szkołę w Porębie; to nie ten sam, co owcę pasał na wzgórku, nie ten! o pewnie, że nie ten już Franek złodziejczyk, co go nieboszczyk Grządziela na swoim grobie uczył malować, — Wiadomości mu pełno przybyło, na świat na w pół młodzieńczem już patrzał okiem, i nic dziwnego, że miał silne postanowienie przezwyciężyć wszystkie zapory na drodze do — życia!

W kilka dni po odbytym egzaminie, siedział ze swoim ukochanym nauczycielem, jak zwykle w jednym pokoju. Franek zajęty był jakimś nowym rysunkiem, Zawada naprawiając stary ul przy bocznym stole, pierwszy przerwał milczenie:

— O! pracownice tu będą się mieścić wygodnie.. Franku! patrzajno.. o tu miód będą składać... wosk... Trutnie razem będą z niemi siadać już do gotowego — a to próżniaki!

— Jakto razem mój panie? — oburzyło to widocznie Franka — do gotowego razem?,. powtórzył.

Zawada się roześmiał.

— A razem! cóż cię to tak dziwi Franku?..

— Bo to złodzieje tylko tak robią!...

A i trutnie tak samo... ale to nie długo trwa u nich taka uciecha; pszczoły jak zobaczą, że im miodu ubywa, oho! pędzą z ula żądłami...

Po chwili ul był już gotowy; Zawada stanął teraz koło Franka i przypatrywał się jego rysunkowi.

— Dobrze wyszła ta kobieta z sierpem? zapytał go Franek.

— Dobrze! dobrze! — potakiwał Zawada — a po chwili namysłu dodał — ale trzeba teraz i o snopie pomyśleć.

Franek widocznie go nie zrozumiał, bo pytającym wzrokiem spoglądał na niego. Zawada zaś kończył swoje.

— Mój Franku! ostatni to czas pomyśleć o sobie: sierp masz, trzeba iść w pole po snopy. Trzeba iść w świat!... - Franek zaczerwienił się tylko i nie wiedział, co na to ma odpowiedzieć: — „Pójdę!" — to za mało; „chcę!.." — to za wiele.

— Ja mam projekt wcale nie zgorszy — ciągnął Zawada dalej — uda się to dobrze, nie uda — to trudno. Wiesz Franku najlepiej, żebym ja mógł tylko, pomógłbym ci sam z pewnością, niestety nie mam. Trzeba się udać o pomoc do ludzi, myślałem już o tem. Ubierzesz się więc jutro porządnie, weźniemy twoje rysunki i pójdziemy do dworu. Dobrze?

— Ha! jak pan tylko zechce, wszystko zrobię.

Zawada długo stał i wpatrywał się w Franka, który tak dziwnie obojętnie zdawał się przyjmować ostatni projekt ukochanego nauczyciela, pochylił więc tylko kilka razy głową nad uczniem, ręce rozkrzyżował, jak gdyby miał kto te dłonie gwoździami mu przybijać do krzyża, i westchnął cicho.

— Hm! od jutra więc zależy twój wóz albo przewóz, od jutra zaczniesz być człowiekiem nowym, może artystą malarzem, albo pozostaniesz w Porębie dawnym Frankiem złodziejem.

Cała dzisiejsza rozmowa z Frankiem, silnie musiała oddziałać na słaby i wątły organizm Zawady, bo nie długo suchy kaszel zerwał się z wnętrza tych piersi, co przed chwilą tak gorąco odczuwały potrzeby i pragnienia drugich.

Franek zaniepokojony zerwał się i podał Zawadzie przygotowaną wodę mineralną z mlekiem. Tej nocy nie poszedł nawet spać do domu, ale pozostał, czuwając przy nauczycielu, jakkolwiek nad wieczorem stan jego zdrowia polepszył się znacznie,

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z pamiętników uciekiniera.

... Żydek poganiał chudą szkapę i sanki leciały, podskakując na bruku pokrytym cienką warstwą śniegu, po Nowym Świecie ku Trzem Krzyżom, ja zaś poganiałem żydka obietnicą sowitego wynagrodzenia, bom się spóźnił, podług swojego chwalebnego zwyczaju. I jakże się nie miałem spóźnić, kiedy mię złapał przed samymi Karmelitami kochany Jarociński, wąsaty ułan Skrzyneckiego, niewidziany od pół roku? I jakie mi on nowiny przywiózł z Białegostoku! Nasi szemrzą i zgrzytają zębami, bo o powstaniu jakoś nie słychać, a Wileński komitet zapowiada wręcz, że powstania wcale nie będzie, że każdy prawdziwy Litwin powinien się wystrzegać tych przeklętych Mazurów, emigrantów i kolejarzy, którzy tylko chłopów buntują. Tak mówią Jundziłł i Zabłocki w Grodnie, tak powtarzają ich stronnicy w Białymstoku, a Frycze, Pluciński, Puciata nic zrobić nie mogą. Władka Michałowskiego zadenuncyowali, o czem Jarociński nie wiedział, ale ja telegrafowałem przecież przed chwilą do Władka z Pragi, by się miał na ostrożności: telegrafowałem słuchowym sposobem, który na wstążeczkach aparatu żadnego śladu nie zostawia.

Warto więc było słuchać i notować sobie w pamięci, a kiedy się wyrwałem, już druga dochodziła. A trzeba było na gwałt jeszcze zebrać podatek narodowy i być przed trzecią na Starem Mieście, gdzie Giedke miał mi coś ważnego do powiedzenia. Główna rzecz podatek. Ciocia nie bogata, ale zapłaci z pewnością, a pieniędzy na gwałt potrzeba. Francuzi wydali Moskalom pierwszy transport broni, aresztowali Milowicza i Godlewskiego, a jakże będzie gdy Wielopolski brankę naznaczy? Pieniędzy, pieniędzy na gwałt!

Leciał więc dorożkarz, o ile żydowska szkapa lecieć może, a jam dumał. Iluż naszych capnięto w tym grudniu 1862 roku! Ale mnie się dotychczas upiekło, chociaż mię szukają od siedmiu miesięcy po całym kraju, a ja sobie spokojnie siedzę w Warszawie. Upiekło się dotychczas chwała Bogu i Frankowskim i Wasilewskiemu, i setkom innych, których jeszcze dawniej szukają. Jeźli prawda, jak mówi Wołk-Bunikiewicz, że naznaczyli na moją głowę 5000 rubli, to nie bardzo się starają o zdobycie takiej gratki. I z pewnością do mnie się nie dobiorą; mieli mię przecie nie dawno w ręku za latarkę, a wypuścili. O zdradzie wcale nie pomyślałem, bo należałem jeszcze wówczas do bardzo naiwnych.

Zresztą jak tu o zdradzie pomyśleć, kiedy tylu siedzi, którzy mię doskonale znają, a nikt ani słowa nie pisnął? Nie tylko nasi z organizacyi, wszyscy święcie tajemnicy dochowali. Czyż parę dni temu nie spotkał mie Moskal, nasz kolejowy inżynier Alechin, na Senatorskiej, właśnie gdy pułk gwardyi z muzyką maszerował, i nie udał, że mnie nie poznaje? Nikt carowi nie pomaga, chyba sam Wielopolski, a przecież i jego policya raporty mi składa najsumienniej. Tyle wiedzą, ile się z Paryża dowiedzieli.

Skręciliśmy na Chmielną i wnet stanęliśmy przed nizką bramą 1575-go numeru na Widoku. Wpadnę, wyproszę podatek z całowaniem rączek, i jazda dalej.

Sankarz rozsiadł się dla czekania, ja wpadłem jak zwykle szybkim krokiem na podwórze. Od ulicy był parterowy dom, ciotka mieszkała w oficynie w głębi podwórza i ku tej oficynie skierowałem się. Nic nadzwyczajnego nie było widać: te same doróżki (mieszkał tu p. *anteprener* od dorożek), te same krzątające się baby u studni; ale pomimo krótkiego wzroku stanąłem wkrótce jak wryty — w zamkniętem oknie mignęła przestraszona twarz kobieca, i ręka znak dała — grozi jakieś niebezpieczeństwo. Nie było rady — bez namysłu wykręciłem się na piętach i podążyłem ku otwartej na oścież bramie. Jeden rzut oka pokazał mi wówczas że źle. Na moich sankach siedzi policjant, sądząc z fizyonomyi, Litwin, jeden z tych zasłużonych żołnierzy gwardyjskich pułków, którymi Wielopolski wzmocnił niedawno nie bardzo pewną warszawską policyę; a z za bramy wychodzi natychmiast mój dobry znajomy, p. dozórca Słowikowski i najgrzeczniej oznajmia: »Nie wolno — bądź pan łaskaw do mieszkania«. Do takiej niespodzianki dawno byłem przygotowany i od kilku miesięcy na taki wypadek czekał w kieszeni od bekieszy przygotowany rewolwer. Nie mówiąc ani słowa, wydobyłem go natychmiast. Słowikowski odskoczył jak oparzony, wrzeszcząc już nie pamiętam co, a ja pobiegłem chodnikiem ku

Marszałkowskiej. Obaj policyanci podążyli za mną środkiem ulicy na saniach, wywijając ex-ułańskimi pałaszami i wzywając do pomocy wiernych poddanych Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości; ale nikt się na takie wezwanie nie zgłosił i dobiegłem bez przeszkody do ostatniego domu na rogu Marszałkowskiej, celując od czasu do czasu w prześladowców dla przestrachu; dobrze że wówczas nie mieli broni palnej, bo by mi ten manewr z pewnością na sucho nie uszedł.

Strzelać — broń Boże! Chyba bym miał zwołać gapiów i żołnierzy z dworca kolejowego, tuż z tamtej strony Marszałkowskiej ulicy. Przez te kilkadziesiąt kroków ułożyłem sobie już plan ucieczki, a taki wymagał jak najmniej świadków — sam p. Słowikowski ich zawezwie, kiedy mu będzie potrzeba.

Na rogu ulicy Widok i Marszałkowskiej, naprzeciw dworca, stał wówczas niepokaźny, mniej niż drugorzędny zajazd, pompatycznie ochrzczony: »Hotelem Warszawsko-Wiedeńskim«. Znałem dobrze tę dziurę, bo kilka razy robiłem w niej najazd na Rudego [1]), który się w niej często zatrzymywał i którego trzeba ciągle było w karbach trzymać. Rudy, znany ze swojego ultraterrorystycznego usposobienia, które było mu wspólne z jego bratem Zygmuntem, musiał prawie zawsze przedemną pasować i odkładać projekty »sprzątnięcia« na lepsze czasy. Nie daleko stąd czuwający Kogutek [2]) miał go zresztą na oku, i nie pozwalał mu bruździć zbytecznie.

Kwatera Rudego była teraz dla mnie punktem oparcia. Front był od ulicy Marszałkowskiej, a od Widoku była brama z furtką na podwórze. Na drugim końcu był ogródek ze stolikami dla piwoszów, przytykający nie wysokim murem do sąsiedniej posesyi na alei Jerozolimskiej. Wpadłem tedy do bramy »hotelu«, i furtkę za sobą zatrzasnąłem.

Rozumie się, że szanowni »rodacy“ ze straży bezpieczeństwa natychmiast za mną podążyli. Alem stał tuż za furtką, i skoro wzięli się za klamkę, otworzyłem gwałtownie drzwi, i wycelowana lufa rewolweru z wykrzykiem: „Nazad, bo w łeb palnę“! przekonała ich nader łatwo, że lepiej stać na ulicy, krzycząc i machając pałaszami. Byłem już pewny, że się drugi raz nie zbliżą, nim posiłki przyjdą, i zostawiając bramę na wolę boską, pędem rzuciłem się do bufetu.

Szło mi nie tylko o własną osobę, ale o to co z sobą miałem. Oprócz rewolweru i sztyletu miałem z tysiąc rubli podatku narodowego, dziś zebranego, i książeczkę notatkową, pisaną wprawdzie mnie tylko znanemi hieroglifami, ale która się pomimo tego nie powinna była dostać do rąk naszych najserdeczniejszych. Wpadłem do bufetu, gdzie siedziała pierwszy raz w życiu przezemnie widziana i blada z przestrachu bufetowa — boć przecie słychać było wrzaski policyantów, i niejedna ciekawa figura wyjrzała już na podwórze, by się schować co prędzej, kiedy się przekonała z mojej powierzchowności i trzymanej w ręku broni, że nie ma do czynienia ze zwyczajnym rzezimieszkiem. Wpakować jej do ręki paczkę bankowych biletów i książeczkę notatkową z dobitnym szeptem: „Pieniądze narodowe“, zajęło tylko jedną chwilę i wyskoczyłem natychmiast do ogródka, a za mną obróciły się tylko szeroko otwarte oczy niemej z przerażenia kobiety.

Czy *wszystkie* pieniądze oddane zostały, tego nie wiem, ale część z pewnością dostała się do skarbu narodowego; a z notatek zrobiła panna czy mężatka najlepszy w świecie użytek, bo je natychmiast spaliła.

Po takim walnym czynie już lżej mi było wędrować dalej; to też przedostałem się żwawo przez ścieżki, ławeczki, stoliki i krzaki ogrodu, dotarłem do muru i przegramoliłem się na sąsiednie podwórze. Ani jedna żywa dusza nie wyjrzała z za szczelnie zamkniętych i zakitowanych okien; rewolwer znikł w bocznej kieszeni, i najzwyczajniejszym krokiem dostałem się przez sieni wysokiej, kilkopiętrowej kamienicy na aleję Jerozolimską.

Człowiek praktyczny i ostrożny skończył by tutaj swoją odyseę najprozaiczniejszym sposobem. Na prawo, na lewo żadnego osobliwego ruchu nie było: widać stójkowi ziewali sobie jak zwykle na rogach ulic, służące snuły się od domu do domu, rzadcy przechodnie (alea była wówczas bardzo mało zabudowana) śpieszyli z powodu mrozu po trotuarach — ani jednej dorożki, ani jednego wozu. Widać że policya była jeszcze zajęta

[1]) Ignacego Chmielińskiego.
[2]) Naczelnik naszej policyi.

pilnowaniem strasznej furtki, a jakem się później dowiedział, dopiero sprowadzeni ze dworca żołnierze uskutecznili rewizję hotelu — gdzie nic nie znaleźli i gdzie nikt im powiedzieć nie mógł, kędy się podział „wysoki, młody brunet w okularach, w bekieszy z bobrowym kołnierzem«. Trzeba więc było wpaść do pierwszego lepszego domu, zadzwonić do czyjegoś mieszkania (byle nie arystokratycznego), zarekomendować się i przeczekać przy herbacie policyjną burzę Takie już były czasy, że mogłem być pewny schronienia. I okłamałbym poczciwą Warszawę, gdybym nie powiedział. że plan taki, chociaż nie tak zupełnie, udałby się z pewnością i teraz.

Dostałem też natychmiast dowód, że mogę najzupełniej liczyć na mieszkańców grodu syreniego, bo kiedym szedł zamyślony trotuarem, starając się, by nic we mnie nie zdradzało zwierza, który tylko co z obławy wyskoczył, słyszę koło siebie głos kobiecy: »Panie, panie! zgubiłeś pan coś«. Oglądam się — jakaś biedna niewiasta z nadzwyczajnie znaczącem spojrzeniem pokazuje mi na śniegu czarny przedmiot: byłto mój nieszczęśliwy rewolwer, który wpakowałem z pośpiechu do dziurawej kieszeni. Podniosłem, włożyłem do innego schowania i bez podziękowania ruszyłem dalej; ona pobiegła także, nie obejrzawszy się nawet, ku ulicy Marszałkowskiej.

Alem nigdy nie był ani praktycznym, ani zbyt ostrożnym i taki plan ze schówką do mnie nie pasował. Jedno tylko było dla mnie oczywistem: pułapka jest — trzeba dać znać natychmiast — natychmiast! A tu jak na złość ani jednych sanek!

Kto zna Warszawę, wie, że ażeby się dostać z Jerozolimskiej na północ, ku Staremu Miastu, trzeba koniecznie przejść albo Marszałkowską (bo dalej do Żelaznej, prawie koło rogatek, niema żadnej przecznicy), albo Bracką koło Widoku, albo Nowym Światem, albo niżej, Solcem. czyli jak mówią czyści Warszawiacy, »Szulcem“. Pierwsze drogi były zajęte przez policyę, w tem wątpienia nie było — podążyłem ku Nowemu światu, ale skręcając na Nowogrodzką, równoległą Jerozolimskiej. Pustki i tu — bo też wówczas było to prawie za miastem; dostałem się tak na plac Trzech Krzyżów — nigdzie za mną nie widać pogoni.

Gdybym miał trochę rozumu, albo więcej stanowczości, kiedym zobaczył, że u Trzech Krzyżów także sanek nie ma, rzuciłbym się na Nowy Świat, gdzie ruch był bardzo ożywiony: najlepiej się schować w tłumie. Alem się przestraszył tego, że mię nawet w tłumie zdradzi wzrost; dawnom był do tego przyzwyczajony przez Białostocką policyę, która w żadnej manifestacyi nikogo nie widziała, prócz długiego Szwarca. Zejść ku Wiśle na dół Książęcą, skręcić na Solec, a już mnie żaden Słowikowski nie złapie w zaułkach i fabrycznych zagrodach nadwiślańskich; stamtąd do Starego Miasta najkrótsza i najbezpieczniejsza droga. I skręciłem na Książęcą.

Wiele lat później opowiadano mi na Syberyi, że jakiś konny za mną jeździł i wskazywał policyantom, którędy poszedłem; mówiono mi nawet nazwisko tego jegomości, który miał być za to srodze przez naszych prześladowany. Mogę powiedzieć, żem nic takiego nie spostrzegł, żem żadnej kawaleryi nie widział, a jeśli jakiś jeździec, wracając z Alei Ujazdowskiej, wskazał mię policyantowi, to zupełnie niewinnie tak postąpił.

Książęca ulica spuszcza się dość pochyło na dół od placu Trzech Krzyżów ku Wiśle, a od niej skręca na prawo Czerniakowska ku rogatkom, na lewo Ludna ku Solcowi. Wcale w niej prawie domów niema — na lewo szpital św. Łazarza z obszernym ogrodem, otoczony murem wysokim; na lewo pałacyk i ogród Frascati Branickich na wzgórzu; na samym początku od placu parę domów. Nie mogłem wybrać gorszego miejsca dla ucieczki, bo z góry widać wszystko jak na dłoni i tak mię prawdopobnie policyanci poznali z daleka po wysokim wzroście, po futrze i mazurskim czarnym kapelusiku. Alem liczył, że po dwóch minutach skręcę na prawo albo na lewo i że już zupełnie mię z oczu stracą; jeszcze kilkanaście sekund, i takby się też stało.

Ledwom jednak doszedł do końca ogrodu św. Łazarza, usłyszałem za sobą krzyk i tętent jazdy — dopędzają mię. Żwawo więc skręciłem za róg ogrodu na Smolną, która łączy Książęcą z dolną Jerozolimską; ale i tu widok nie był wcale pocieszający. Z jednej strony ciągnie się dalej mur ogrodu szpitalnego, z drugiej sterczą jednostajne nizkie zabudowania bankowej fabryki maszyn, bez żadnej bramy na ulicę. Złapałem się!

Nie było czasu do namysłu, bo już dojeżdżał Słowikowski z moim żydkiem i dwoma pomocnikami. Zaczęła się znowu scena z ulicy Widok: oni wywijają pałaszami, krzyczą i złorzeczą, trzymając się jednak odemnie jak najdalej, ja idę zmęczonym już krokiem, celując czasami, kiedy ktoś zbytecznie się zbliża. Z obywateli — ani żywej duszy.

Przy tej samej ulicy, Smolnej dolnej, miał później, jak niesie podanie, zamieszkać ostatni naczelnik Rządu Narodowego, Romuald Traugut. Ulokował się chyba w budynkach bankowych, bo innego domostwa wówczas nie było; a ponieważ wymieniają jakiegoś właściciela kamienicy, mocno wątpię o akuratności tego podania. Ale to się do mojej sprawy nie odnosi.

Położenie było nie do zazdrości; zacząłem się więc rachować z możliwością dostania się do niewoli, bo lada chwila mogą podążyć policyjne posiłki. Nic mi nie zostało, prócz portmonetki z trzydziestoma własnemi rublami; ale przypomniałem sobie, że mam w niej piórko gęsie, szczelnie z obu końców zapieczętowane i zawierające jakiś biały przedmiot. Dostałem je dla oddania komuś, teraz nie pamiętam komu, i nie wiedziałem wcale, co się w piórku znajduje; na wszelki wypadek lepiej się i tego pozbyć. Strasząc więc prawą ręką pana Słowikowskiego rewolwerem, lewą wyciągnąłem kieskę z kieszeni i jednym zamachem przerzuciłem przez mur ogrodowy. Teraz już nic nie mam — prócz broni. Prawda, że ta broń prowadzi wprost na szubienicę — ale tylko mnie.

Policya zważała wyłącznie na wycelowany pistolet, więc tego ruchu nie spostrzegła; ale krew semicka odezwała się w sankarzu i doskonale spostrzegł, że poleciała *portmonetka*. Szanowny Icek czy Mojsie nic wszakże o tem przedstawicielom władzy nie powiedział, ale skoro się wyprawa skończyła, podążył wprost do Łazarzowego ogrodnika, żądając połowy przynajmniej znalezionego. Ogrodnik, zwabiony w tę stronę hałasem, znalazł wprawdzie i zabrał moją kieskę, ale nie umiał jej zniszczyć i pieniędzy schować; dał tylko żydowi w kark należycie, a ten się zemścił denuncyacyą. I tak dostała się do rąk pana Wielopolskiego kartka Jarosława Dąbrowskiego z cytadeli do jakiegoś oficera Deblińskiej załogi.

Wiele miałem potem z tego pióreczka pociechy. Gdy skrzywiony i ironiczny pan Witkowski zapytał mie, co ja myślę o jego zawartości, ponieważ się do niego nie przyznaję, odpowiedziałem w prostocie serca, że widziałem podobne pióreczka zawierające jakieś silne lekarstwo czy truciznę. I dopiero kilka tygodni potem, ku wielkiej swej uciesze, usłyszałem słodko-gorżkie wyrzuty przyszłego prezydenta stołecznego miasta Warszawy z carskiej łaski, zawsze z powodu owego nieszczęśliwego gęsiego ostatka. »Czyż się godzi, szanowny panie, mówił półkownik Witkowski, tak sobie zadrwić z sądu Jego Cesarskiej Mości? Myśmy naznaczyli całą komisyę chemików, przystąpiono do badania z wszelką ostrożnością a w tem piórze« — i długie jego koszlawe, jak u garbatego, palce wyciągają ów nieszczęśliwy bilecik. Możecie mi wierzyć, żem się naśmiał do woli.

Ale to było daleko później, wówczas kiedy się krew lała od Prosny do Dźwiny, kiedym już siedział naprzeciw samego Jarosława w dziesiątym pawilonie i ostrzegłem go co do owej złapanej korespondencyi. Trzeba wrócić na Smolną. Doszedłem do rogu, i tu na lewo stał domek z wschodkami od ulicy; za nim się piętrzyły ogrody, należące do Łazarza i do Izby obrachunkowej. Można więc było nareszcie powtórzyć manewr z Widoku — wbiegłem, odstraszyłem znowu policyę groźnem celowaniem i podążyłem na podwórze, oddzielone niskim parkanem od ogrodów. Jeszcze jedna chwila...

Sztuka, mówi Moskal, raz się tylko udaje. Prawda, że Słowikowski z drużyną nie śmieli za mną podążyć, ale na ich wrzaski wysypała się cała ludność kamienicy — niestety! Moskale. Był to, jak się potem pokazało, skład artyleryjski, więc żołdaków, chociaż nie szeregowych i bezbronnych, pełno.

Żałowałem, ale po niewczasie, żem nie wypalił, żem choć jednego »rodaka« trupem nie położył, bo już wszystko jedno było — muszą złapać. Na parkan wskoczyć nie podobna — za nogi ściągną, a jest ich teraz kilkunastu. Odstraszyłem więc żołdaków, i wyszedłem znów jak niepyszny na ową nieszczęśliwą Smolną.

Zaczął się już prawdziwy pochód tryumfalny. Kiedym się dostał na Jerozolimską, przerzynającą się w owem miejscu przez

wysoki pagórek, tak, że tylko śnieżne stoki z każdej strony — gdzieś, hen na górze, domy sterczą!— z boku jadą, środkiem ulicy sanki, przy nich idą machający policyanci, za mną żołnierzyska: wszystko to wrzeszczy, rękami wywija, odgraża się rozmaitymi językami. Dla uzupełnienia obrazu nadjeżdża kozak z dzidą i spokojnie się całej scenie przypatruje; ale widać, że męztwo Dońca do szarży nie dorosło, bo zamiast natrzeć na mnie, jak się należy, pożyczył tylko dzidę piechurom; ci trzymają ją we trzech czy we czterech, przyskakują na ostre, odstępują znów jak najspieszniej przed lufą rewolweru — zaręczam, że warto było patrzeć.

Były to moje ostatnie podrygi. Męztwo moskiewskie znalazło sobie nareszcie jeszcze jednego pomocnika: jakiś czarny i blady przechodzień został nagle przez nich schwytany i popychając go naprzód, żołdactwo z za niego na mnie z dzidą natarło. Nigdy nie zapomnę owej bladej, przestraszonej twarzy, owych szeroko otwartych oczu i ust, z których ani jeden dźwięk nie wychodził — i nie dziw: był to, powiedział mi Witkowski, głuchoniemy z sąsiedniego zakładu. Kiedy się ostrze dzidy moich piersi dotknęło, ponad jego głową zacząłem strzelać.

Wszystko zaraz pierzchło, ale nie daleko; żołnierze chowają się za głuchoniemego, policyanci rzucili się byli naprzód z krzykiem: »Aha! już wystrzelił!« Ale się wnet przekonali, że mam jeszcze naboje i zrejterowali za sanki: kozak gdzieś drapnął. Nie jestem jednak winien krwi chrześcijańskiej, bom ani jednego nie drasnął.

Na strzały, jak się można było spodziewać, zaczęli się zbiegać inni wojownicy z koszarów straży ogniowej, tuż na rogu Jerozolimskiej i Nowego Świata; już mi się cała komedya sprzykrzyła. Głuchoniemy wciąż patrzał z najeżonemi od strachu włosami — obrzydzenie! Odwróciłem się i rzuciłem w śnieg swój Lefaucheux — »Bierzcie mię!«.

Zaraz duch nowy wstąpił w mężne carskie sługi, i kilka pięści na raz chwyciło mię śród krzyku; a wierny kompan pana dozorcy chciał jeszcze więcej waleczności pokazać, bo pociągnął mię płazem po plecach z przekleństwem. Szarpnąłem się oburzony i odpechnąłem draba, który się znów zamierzył... Trzeba jednak oddać sprawiedliwość Słowikowskiemu, że powstrzymał zaraz zbyt gorliwe zapędy i, zrewidowawszy moje kieszenie, jak umieją tylko policyanci i rzezimieszki, kazał mię poprowadzić do dziesiątego cyrkułu.

Bronisław Szwarce.

Odczyt o Kościuszce

wygłoszony na uroczystem zebraniu młodzieży polskiej w Petersburgu. (*)

Sto lat ubiegło od chwili, gdy na krakowskim rynku Tadeusz Kościuszko złożył przysięgę na wierność narodowi. Od tej chwili nie było w naszych dziejach ani jednej godziny, żeby naród polski nie pamiętał o swoim Naczelniku. Mijały pokolenia; przychodziły chwile wielkiego upadku i wielkiego podniesienia się ducha narodowego, chwile wielkich walk i jeszcze większych cierpień, przesuwali się przed oczyma narodu mężowie wielkich zasług, męztwa i poświęcenia, ale żadna z tych chwil nie utkwiła tak głęboko, tak na zawsze w pamięci narodu, jak ta, w której bohater amerykańskiej wojny o niepodległość dobył w Krakowie szabli dla ratowania ginącej ojczyzny; żaden z tych ludzi nie wyrył tak niepodzielnie swojego imienia w sercach milionów, jak ten mąż o lwiej duszy a gołębiem sercu, który umiał walczyć i cierpieć, a nie umiał rządzić i karać. Dla czego pamięć Kościuszki jest tak drogą narodowi polskiemu, dla czego imię jego jest tak świętem dla wszystkich Polaków, że nawet w epokach najgłębszego upadku politycznego, w chwili zaniku uczuć narodowych, żaden głos nie ośmielił się podnieść przeciwko pamięci jego, żaden zgrzyt rozpaczy albo nieprawości nie zakłócił nigdy cichej modlitwy, z którą naród zwracał swoje tęskne oczy ku kopcowi, co gdzieś tam stoi pod Wawelską górą? Nawet w tych smutnych chwilach, kiedy społeczeństwo

---

(*) Nadesłany nam odczyt umieszczamy chętnie, gdyż pod pewnym względem przestawia nam zapatrywania znaczniejszego odłamu młodzieży naszej rozrzuconej w caracie. *Red.*

nasze oszalale z bolu po strasznych przejściach miotało się w rozpaczy, nie wiedząc gdzie jest prawda; kiedy synowi bluźnili pamięci swoich bohaterskich ojców i wyrzekali się marzeń, któremi i dla których żył i walczył Kościuszko, — nawet w tych czasach — imię jego nie przestało być świetością narodową, której nikomu nie wolno było dotknąć inaczej, jak z obnażoną głową i pobożną myślą.

Czy obronił on Polskę od wrogów, co ją na części szarpali? czy był niedościgle wielkim i nieomylnym, czy nie popełnił ani jednego błędu, czy uczynił jednem słowem wszystko, co należało uczynić w takim położeniu, w jakiem była Polska w chwili, gdy jej losy ujął w swoje ręce? Nie. Tego nikt nigdy nie twierdził i twierdzić nie może Nie potrafił oprzeć swojego ruchu na wielkich masach ludowych, chociaż czuł i rozumiał, że tam było zbawienie dla Polski, nie umiał rządzić żelazną dłonią, kiedy tej dłoni tak bardzo było potrzeba; przerósł on zaledwie o głowę swoje otoczenie, kiedy położenie potrzebowało człowieka, co by je o cały wzrost ludzki przewyższał; nawet jako wódz nie był wolny od błędów. A jednak czci go naród polski, i kocha tak niepodzielnie, tak powszechnie, jak nie czczą i nie kochają narody swoich Kromwelów, Fryderyków, Napoleonów, którzy byli większymi wodzami od zwycięzcy z pod Racławic i większymi mężami stanu od dyktatora, co cierpiał pod swoim bokiem zdrajcę króla i karał lud warszawski, instynktowo chwytający się jedynej drogi, na której końcu leżało wyjście z rozpaczliwego położenia.

To też nie tyle Kościuszkę wodza, nie Kościuszkę — męża stanu czci i wielbi naród polski, ile Kościuszkę — człowieka. Wódz i mąż stanu stał się przedmiotem badań i rozstrząsań uczonych, — człowiek został świętością narodu. Gdy o wodzu i polityku nauka różne zdania wygłasza, różne daje wyroki, naród, jako całość, miał i ma o człowieku jedno tylko zdanie i jeden wyrok. Gdy nauka, ważąc czyny wodza i męża stanu, błąka się i myli, jak zwykle, przechylając się to w tę to w ową stronę, naród, sądząc człowieka, nie błąka się i nie myli, tylko raz zbudowawszy mu w swoich sercach pomnik, ze czcią pielęgnuje go i ozdabia coraz to nowymi, świeżymi kwiatami.

Cóż dał Kościuszko jako człowiek narodowi polskiemu, przez jakie czary tak głęboko utkwił w sercach tego surowego a nieomylnego sędziego, jakimi jest zawsze i wszędzie naród w stosunku do swoich wielkich ludzi?

Gdy po drugim rozbiorze kraju stało się rzeczą widoczną, że Polska została skazana przez mocarstwa rozbiorowe na wolną agonię polityczną, na końcu tej drogi, po której dozwolono jej było jeszcze wlec się przez czas jakiś, broniąc zadanemi przez rozbiory ranami, była nie jedna tylko zagłada, nie jedna tylko śmierć polityczna. Była tam jeszcze i hańba, która dla narodów jak i dla jednostek jest gorszą i straszniejszą od śmierci. Narodowi, co przeżył przez długie wieki w niepodległości, co miał wiele świetnych chwil w swojem życiu i nie jedną przysługę wyświadczył ludzkości, groziła hańba zejścia z areny politycznej z obrożą na szyi, jak schodzi z placu posłuszny niewolnik lub zwierzę ofiarne prowadzone na zabicie. Groziła mu hańba zamknięcia księgi swojego żywota stronicą czarną i splugawioną przez bezeceństwa sprzedajnych posłów i występną słabość niedołężnego króla. Co mógł zostawić w spadku dla następnych pokoleń naród, schodzący w ten sposób z pola walk odwiecznych, jaki testament mogli przekazać swoim synom i wnukom ludzie Targowicy i sejmu grodzieńskiego? Nie wiele było w Polsce ówczesnej ludzi, co czuli i rozumieli całą okropność, niemożliwość, zbrodniczość takiego zakończenia historyi polskiej jako wielkiego mocarstwa — jeden tylko, co się podjął dzieła uratowania upadającej Polski już nie od upadku, — bo na to może było zapóźno, ale od upadku połączonego z hańbą. Tym jednym człowiekiem był Kościuszko. Czy widział on i rozumiał możność uratowania wszystkiego przez postawienie wszystkiego na kartę, tego nie wiemy. Niech nato odpowie nauka, która dziś może taką da odpowiedź, a jutro inną. Ale czuł i rozumiał, że Polska przez wzgląd na siebie, na swoją przyszłość, na całe szeregi pokoleń, które będą żyć i pracować nad jej odrodzeniem, nie może i nie powinno iść pokornie pod jarzmo; powstał więc i kazał jej wstrząsnąć tym jarzmem, wstrząsnąć tak potężnie, że echa tego wstrząśnienia i po stu latach grają w duszy jej synów nieprze-

brzmiałą pobudką. Powstał i uratował honor ginącego państwa, a z nim uratował dumę i spokój duszy następnych pokoleń.

Gdy wódz może wątpił o możliwości prowadzenia wojny przeciwko trzem wielkim mocarstwom z garstką wojska i odrobiną ludu, gdy mąż stanu rachował się ze ślepotą i egoizmem klasy panującej, człowiek nic nie ważył i z niczem się nie rachował, tylko rzucił się śmiało tam, kędy go powoływało poczucie obowiązku, poczucie olbrzymiej odpowiedzialności przed historyą i przed przyszłemi pokoleniami. I gdy wódz został pokonany, człowiek zwyciężył i zwyciężył na zawsze. Czyn jego, nie użyteczny ze stanowiska chwili, stał się gwiazdą promienną, której światła nie przyćmiło sto lat klęsk i daremnych wysiłków.

I za to czci go i kocha naród polski, jak dziecko czci i kocha tego, co uratował honor jego umierającej matki. Nie złorzeczy mu naród za to, że nie zwyciężył, ale błogosławi go za to, że nie zwątpił o zwycięstwie. Jak niegdyś senat rzymski wraz z narodem wyszedł na powitanie konsula wracającego z przegranej bitwy, tak naród polski dziś jeszcze, po stu latach, wita ze czcią cienie wodza i jego rycerzy, wywoływane z grobu przez jeden wielki głos pieśni bojowej: »patrz Kościuszko na nas z nieba, jak w krwi wrogów brodzić twego miecza nam potrzeba by Ojczyznę oswobodzić«. Kiedy Kościuszko po wejściu do Warszawy widział się z królem, to król doń powiedział te słowa: „mości panowie, wszystko to bardzo piękne ale czy to rozsądne“? Otóż naród polski wielbi Kościuszkę za to, że umiał nie być rozsądnym w chwili, kiedy rozsądnym być nie wolno pod karą hańby w historyi i przekleństwa przyszłych pokoleń. Jak nie jest rozsądnem słabe pacholę, porywające się na dorodnego męża, co krzywdzi jego matkę, tak nie był rozsądnym Kościuszko w oczach aż nazbyt rozsądnego króla, gdy na polach Racławic, Szczekocin i Maciejowic pisał krwawemi głoskami testament pokrzywdzonej i upadającej Ojczyzny. Testament ten czytało już trzy pokolenia, a co w nim wyczytały, o tem chlubnie pisze historya. Oby i czwarte nie zaniedbało rozczytywać się w nim tak, jak na to zasługuje. Sto lat mija od chwili, gdy testament ten został skreślony mieczem naszego bohatera i krwią jego przypieczętowany. Wiele zmieniło się od tego czasu. Powstały nowe prądy, nowe dążności, nie znane jeszcze Kościuszce, ani jego współczesnym. Społeczeństwo polskie ukształtowało się w nowe grupy, które postawiły sobie za cel nowe zadania. Postęp i rozwój idei społecznych i politycznych, przez który przeszła Europa, dotknął i nasze społeczeństwo. Nic nie jest nam bowiem obcem z tego, co Europa wytworzyła przez sto lat pracy nad sobą, i obcem być nie powinno. Pod nie jednym względem sięgnęliśmy dalej, niż sięgał Kościuszko i jego współcześni. Czy ma to znaczyć, że już nie zostało nic, czego byśmy się mogli nauczyć od niego, czego powinniśmy się uczyć od niego? Bynajmniej. Czyny i życie wielkich ludzi tem się różnią od czynów i życia ludzi pospolitych, że obok pierwiastku współczesnego, zawierają w sobie pierwiastek wieczny. Ten to wieczny pierwiastek stanowi właśnie dorobek, wielcy ludzie wkładają w gromadzący się z wiekami kapitał postępu, współczesnym pierwiastkiem w działalności Kościuszki był główny czyn jego życia, powstanie, które opromieniło aureolą męczeństwa i bohaterstwa ostatnie chwile politycznej Polski i dało prawo następnym pokoleniom nie wstydzić się przed ludami imienia Polaków.

Pierwiastek ten, jakkolwiek wiernym go nazwać nie można, żyje i po dziś dzień w postaci ciągłości polskiej rewolucyi, ciągłości usiłowań, które czyni naród polski aby strząsnąć z siebie obce jarzmo, — usiłowań, które czynić będzie dopóki nie osięgnie celu, lub dopóki ludność odrodzona i przeobrażona nie zawołała: dość tych walk i zapasów, wszyscyśmy bracia. Ciągłość ta istnieje i istnieć musi, bo tak chcą prawa historyi. Na polach Maciejowic zaszła gwiazda powstania Kościuszkowskiego, ale zapaliła się jednocześnie druga, gwiazda ciągłej, nieprzerwanej pracy i walki o niepodległość. Gdy skończy się ta walka, wtedy będziemy mogli wyrzec, że się skończyło bezpośrednie działanie czynu Kościuszki, że ustał bodziec, który wyszedł od niego, wtedy to wszystko stanie się historyą, dziś jest rzeczywistością i jutro będzie nią jeszcze.

Cóż jest wiecznem w Kościuszce, tak wiecznem, że ani krzty nie straci ze swojej wielkości nawet wtedy, gdy przeminą walki, przebrzmią skargi, przebolą bole, zakryją się rany? Wiecznym zostanie człowiek, co był czystym jak dziecię i mężnym jak bohater.

Zostanie człowiek, co szedł zawsze tam, kędy wołał go obowiązek, nie pytając dokąd zajdzie. Człowiek, co nigdy nie użyczył swej dłoni dla sprawy, której nie ufał, w której świętości nie wierzył. Człowiek, co zawsze niósł krew swoją i życie tam, gdzie sie cierpiąca ludzkość wyłamywała z pod jarzma, tamującego jej naturalny rozwój i hańbiącego jej ludzką godność. Człowiek, co umiał, powtarzam, nie być rozsądnym tam, gdzie zawodzi rozum mędrca ale gdzie uczucie nawet prostaczkowi drogi nie omylne wskazuje. To jest wieczne, bo nie ulega ani zębowi czasu, ani krytyce tych lub owych przekonań społecznych lub politycznych. Nie ma takiego zawodu, niema takiego wyznania, w którymby człowiek, idąc w ślady naszego bohatera narodowego nie zaszedł tam, gdzie się kończy ludzkie a zaczyna boskie. Zaczynając od wypadków życia codziennego, a kończąc na wzniosłem posłannictwie ludzi, co się poświęcają dla dobra krajów i narodów, zawsze i wszędzie biorąc za wzór Kościuszkę jako człowieka, możemy być pewni, że nie zejdziemy na manowce, że spełnimy dobrze swój obowiązek, że jeżeli nam przytem życie przyjdzie postradać, zostawimy po sobie dobre i nie skalane imię.

A któż dziś w Europie więcej od nas Polaków potrzebuje tej siły moralnej, tej czystości serca i duszy, tej bezwzględności w pełnieniu swoich ciężkich bo podwójnych obowiązków względem siebie i względem narodu? Wyzuci ze wszystkiego, co jest chlebem powszednim dla innych narodów w pełni życia i sił, co się domagają normalnych warunków dla swego rozwoju, stoimy ciągle przed palącem pytaniem, co czynić, gdzie szukać wyjścia z nieznośnego położenia. Różni różne podają rady i sposoby stosownie do tego, w co wierzą i co kochają. Ale wszyscy się już zgadzają dziś na jedno, że zanim ludzkość nie wstąpi na całkiem nowe tory, że dopóki dzisiejszy ustrój polityczny nie zostanie zastąpiony przez inny, o którym dziś nie mamy nawet przybliżonego wyobrażenia, że zanim to nie nastąpi, nie masz dla Polski zbawienia po za niepodległością polityczną. Od najskromniejszego radykalisty aż do najbardziej zacofanego konserwatysty każdy poczciwy Polak pożąda niepodległości i o niej przedewszystkiem marzy. A jeżeli masy myślą o czemś i chcą czegoś, to historya uczy, że wcześniej czy później przychodzi chwila, kiedy chęć i myśl w czyn się zamienia. Przyjdzie ona i dla nas; kiedy i jak prędko, tego nie wiemy, jak nie wiemy również, z jakiego skrzydła zabrzmi pierwsza pobudka. Ale to wiemy, że ta chwila przyjść musi i na jej przyjęcie powinniśmy się przygotować. Biada nam będzie i hańba, jeżeli ta chwila zastanie nas nieprzygotowanymi, rozdwojonymi, wahającemi się, jednym słowem niedojrzałymi politycznie, jak było już nieraz. Pielęgnujmy więc w sobie tę iskrę świętą, która nas ciągnie ku górze, na przekór podszeptom i naukom życia. Wyrabiajmy w sobie ducha obowiązku i czystości politycznej, który każe nam żyć i umierać tylko dla dobrej sprawy. Rozwijajmy w sobie ducha zgody i jedności, nie tej jedności co zaciera wszelkie różnice przekonań społecznych i politycznych, bo takiej nam nie trzeba, ale tej jedności, która, nie wykluczając możności ostrego ścierania się zdań, nakazuje wszystkim różnicom milknąć wobec wielkich chwil i wielkich celów. Bądźmy gotowi pójść za głosem obowiązku bez względu na to, z której strony zabrzmi ten głos i do czynu nas powoła. Później, zostawszy panami u siebie w domu, porachujemy się między sobą, jak się rachują między sobą Anglicy, Niemcy i Francuzi. Dziś wolno nam się rachować tylko z wrogami kraju i ludu naszego.

A dla tego, żebyśmy nie zapominali o tym pierwszym naszym obowiązku spoglądajmy często na wizerunek Kościuszki, bierzmy go za pierwszy wzór człowieka i obywatela. Zbudujmy mu trwały pomnik w sercach naszych i jak on przed stu laty przysięgał na wierność narodowi swojemu, tak przysiężmy i my w duszy swojej, że cokolwiekbądź się stanie, nie ugniemy czoła pod jarzmem zwycięzcy, nie wyrzeczemy się swych praw do ludzkiej egzystencyi, do rozporządzania losami własnymi i swojego narodu, przysiężmy sobie, że gdy nastanie wielka chwila w życiu narodu polskiego, to ta chwila znajdzie w nas wiernych uczniów Kościuszki, że głos obowiązku przeważy wtedy wszelkie głosy, wszelkie względy i jeżeli nam będzie sądzono, jak jemu, zginąć, nie dopiąwszy celu, to przynajmniej, jak on, zostawmy tym, co po nas nastąpią, taki testament, któryby oni mogli czytać z boleścią, ale bez wstydu.

Wtedy historya będzie miała prawo napisać o nas, że i myśmy zrozumieli Kościusz-

kę i zasłużyli na to, aby nas w poczet jego uczniów zaliczono.

Petersburg 24. marca 1894.

Moralność w polityce.

(Ciąg dalszy).

IV.

Tak jest, pozostawia ono pod tym względem wiele do życzenia. Ale nadto wiążą się z tem jeszcze inne okoliczności. Brak moralności politycznej pociąga za sobą skutki opłakane, które trwają pod postacią wspomnień przez wieki całe, podobne do fermentu nurtującego bez przerwy — i przejawiają się w formie żalów niewykorzenionych. Dziś przytłumione, jutro wybuchają na nowo. Dowodów tego dostarcza nam Irlandya. Siedm wieków minęło od czasu, kiedy Anglia zmonopolizowała na rzecz swoją sprawiedliwość w tym kraju a przecież nie zdołała wykreślić ani jednego z żalów, jakie Irlandczycy w XII. i XIII. wieku wypowiedzieli przez usta O'Neilów, O'Brienów i Bruce'ów. Nie dowodziż to zbyt jasno zarówno niemoralności takich środków jak i bezskuteczności tychże?

Moralność ta wymaga gruntowniejszej analizy a to w celu wykazania, jakie owoce przynosi tak w stosunkach między państwami, nie obowiązanemi w polityce stosować się do prawideł moralności praktycznej, jak i ogólnie.

Kiedy jednostka raz tylko poczuje możność nadużycia w czynie swej samowoli, przyzwala sobie coraz częściej na powtarzanie tego rodzaju prób, a choćby to był człowiek z natury łagodny, brak hamulca pędzi go do popełniania czynów niegodziwych. Im bardziej wpływowe zajmuje stanowisko, tem bardziej ta skłonność do samowoli wzmaga się i pcha do działania jedną z ułomności natury ludzkiej, zawiść, którą Spinoza uważa za przywarę podstawową, za matkę wszelkich występków i wszelkich zbrodni. I zaprawdę, gdy zważymy przyczyny wszelkich niesnasków pomiędzy państwami, wszelkich wojen, jakie gnębiły ludzkość i gnębić ją mają, przekonamy się, że najpierwszą ich przyczyną główną, jedyną jest zawiść, dręcząca osobistości wybitne, w których ręku wodze rządu spoczywają. Boje krzyżowe, wojny religijne, pomimo sztandaru świętego, który nad niemi wiał, nie były też od niej wolne. Zawiść, zawiść wszędzie i zawsze. Pędzi ona wyznawców Proroka, pod cieniem znaków świętych, do podbicia Europy i do narzucenia jej swojej cywilizacyi, albowiem kalifowie, sułtanowie, padyszachowie, wielcy wizyrzy odczuwają potrzebę wzmagania swej potęgi do nieskończoności. Pędzi ona chrześcijan do podbicia Azyi i do oswobodzenia wrzekomo grobu Chrystusowego, w tym celu aby, pod osłoną grobu Zbawiciela, kiku książąt i hrabiów założyło cesarstwa i królestwa dla siebie, oraz aby kościół rozszerzył swe panowanie. Pierwsi rzucają fundamenta potęgi imponującej, Cesarstwa ottomańskiego z którego wydzielają się kalifaty Kordowy, Sewilli, Niebli, Algesirasu i inne; drudzy lokują się w Konstantynopolu, Epirze, Achaji, Cyprze i indziej. Jedni i drudzy zakładają państwa, lecz skoro je założyli poczynają, bez względu na Proroka lub Chrystusa, gryźć się zajadle między sobą. Zawiść wzajemna doprowadzała panujących powstałych z łona wojen krzyżowych, do uważania siebie za pokrzywdzonych, bądź to przez los, bądź to jednych przez drugich.

Badanie uważne historyi jasno wykazuje fakt następujący, że podżegaczami sporów między narodami byli zawsze i wszędzie ich wodzowie. Oni to, a raczej podwładni, którym rozkazywali, walczyli na ich rachunek około grobu Chrystusowego, jak i walczyli wszędzie indziej, przed wojnami krzyżowemi i po nich, jak dziś walczą i jutro walczyć będą. Bo też zawiść, jako przywara, z której zbrodnia się rodzi, według twierdzenia autora *Etyki*, broni nie składa. Stanowi ona zaczątek wielkich dzieł i głośnych czynów wodzów państwowych, od czasu jak państwa istnieją.

Musimy tu skonstatować prawdę jedną która, jakkolwiek nic nie przedstawia niezwykłego, zasługuje wszakże na przypomnienie: mianowicie, że przywódcy państw są ludźmi, nie różniącymi się w niczem od nas zwykłych śmiertelników, pod względem swej natury, skłonności. Stanowisko to jest tego rodzaju i tak wysokie, że sprowadza zawrót głowy. Moralność znika im z oczu. Czyż Fryderyk Wilhelm, król pruski, ojciec Fryderyka Wielkiego, nie utrzymywał że król.

z łaski bożej paujący, nie jest w stanie popełnić złego uczynku, albowiem, choćby nawet uczynek był złym, łaska boża go podaje myśli panującego. Nie wszyscy panujący podzielają to zapatrywanie na łaskę bożą; wszyscy wszakże, faktycznie i prawnie uwolnieni są od obowiązku stosowania się do prawideł moralności i nie krępują się w używaniu i nadużywaniu tej swobody. Daremnie dobrzy Fenelonowie, obarczeni troską o ich wychowanie, upominają ich aby świecili przykładem cnót wszystkich; daremnie oni sami piszą i wydają dzieła w rodzaju »Anti — Machiavel« a: jest im niezmiernie trudno, a nawet niemożliwie, przy nadarzającej się sposobności, nie popełniać czynów, za które zwykły śmiertelnik podlegałby surowym karom.

A sposobności im nie brak, zwłaszcza w polityce, ukutej po laboratoryach zwanych *gabinetami*, przez mężów noszących specyalną a znaczącą nazwę: mężów stanu.

W skutek braku hamulca moralnego na drodze polityki ogólnej, państwa znajdują się w stanie walki nieustannej, którą przerywają zawieszenia broni krótsze lub dłuższe, stosownie do okoliczności. W czasie takiego zawieszenia, nie próżnuje się: przygotuwuje się do walki następnej, zawsze z góry przewidzianej i sprowadzonej. A ponieważ w czasie wojny wszystkie środki są uznane za godziwe, byleby sprowadziły zwycięstwo, tak i w czasie zawieszenia broni też same środki przyjęte są i praktykowane: podejścia wszelkiego rodzaju, nie wykluczając takich nawet, które kodeks piętnuje karą śmierci.

Gdy wreszcie strony walczące, wyczerpane wysiłkiem, decydują się na zawarcie pokoju, zawiera się go i zabezpiecza wzajemnie za pomocą podpisów położonych przez pełnomocników pod dokumentami zwanemi *traktatami* Podpisy nie wystarczają nawet: dodaje się jeszcze pieczęcie. Dokumenty w ten sposób przysposobione i tak poważne powinnyby mieć swoje znaczenie, nie mniejsze co najmniej aniżeli weksle terminowe, jakie zwyczajni śmiertelnicy podpisują bez przyłożenia pieczęci, aniżeli kontrakty małżeńskie, kontrakty dzierżawcze, testamenta, umowy, jednem słowem dokumenty wszelkiego rodzaju, których znaczenie jest prawie żadne w porównaniu z traktatami, sporządzonemi w celu zatrzymania rozlewu krwi ludzkiej i piętrzenia się ruin. Owóż, nie! dzieje się wręcz przeciwnie. Podpisujący czuje się obowiązanym do dotrzymania słowa tylko odnośnie do tych ostatnich dokumentów. Traktaty nie zobowiązują podpisujących do niczego Co więcej, bywają zwykle redagowane w taki sposób, aby mogły być dwojako tłumaczone, a przy pierwszej sposobności zerwane. Zostawia się w nich zawsze coś niedopowiedzianego, wsuwa się wyrażenia o podwójnem znaczeniu, lub też omyłki rozmyślne. W traktacie dotyczącym rozgraniczenia między Rosyą a Austryą, zawartym na skutek kongresu wiedeńskiego (1815), nadano rzece, mającej służyć za granicą między Galicyą a prowincyami Cesarstwa rosyjskiego, nazwę nieznaną ani mieszkańcom nadbrzeżnym, ani geografii i historyi. W wielki wprowadziło to kłopot komisarzy naznaczonych do dokonania odgraniczenia, i sprawa poczynała przybierać obrót niepokujący; lecz szczęściem dla pokoju, ponieważ była to sprawa dotycząca dwóch członków Świętego Przymierza, — gabinet wiedeński, zostający pod kierunkiem ówczesnej wyroczni politycznej, księcia, znalazł sposób wyjaśnienia rzeczy: wyszukał i zwołał dwunastu mężów obywateli, szanowanych, krórzy przysięgli na świętą Ewangielję, iż nazwa wymieniona w traktacie była dawną nazwą rzeki Zbrucz. Wybieg ten wyposażył Austryę w obszar przeszło 10.000 kilometrów kwadratowych, zaludnionych około 400.000 mieszkańców... Panujący wynagrodził po królewsku obywateli szanowanych za przysługę oddaną państwu: obdarzył ich tytułem hrabiowskim, stosownie do moralności politycznej, różnej od moralności praktycznej w tem mianowicie, że ta ostatnia nie dopuszcza ani krzywoprzysięstwa, ani nagród za przysługi podobne. Takąż samą omyłkę popełnił traktat Paryski z r. 1856 we względzie odgraniczenia części Bessarabii ustąpionej Rumunii, którą następnie Rossya znów odebrała.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROZMAITOŚCI.

Polskie Tow. handlowo-geograficzne niedawno bo przed dwoma miesiącami zawiązane

we Lwowie znalazło już w Austryi naśladowców. Wyszła w języku niemieckim broszura Schrofta p. t. *„Austro-węgierska praca kulturna i emigracya“*, w której autor domaga się założenia towarzystwa kolonialnego z zupełnie pokrewnemi celami, a może nawet konkurencyjnemi z naszem lwowskiem towarzystwem.

Czesi w Ameryce zawiązali ligę czeską na wzór irlandzkiej z celem popierania dążeń narodowych w ojczyźnie i nadesłali pierwszy datek na pomoc dla uwięzionych omladinistów.

Sądy przysięgłych w Pradze mają być z dniem 12. września r. b. przywrócone, ale stan wyjątkowy zapewne nadal, choć bez usprawiedliwiających powodów zostanie utrzymany.

Powiatowe dyrekcye skarbu, nowo utworzone w Jarosławiu i Wadowicach, rozpoczynają czynność z dniem 1. sierpnia b. r.

Dr Stanisław Kwiatkowski otrzymał miejsce operatora uniwersyteckiej kliniki Gussenbauera w Wiedniu dawniej Billrotha.

Stypendya na podróże do Włoch i Grecyi dla studyów otrzymali: nauczyciel gimn. w Stryju, p. Romański i naucz. szkoły realnej we Lwowie, p. Lityński.

Instytucya czci i chleba, instytucya dobroczynna polska, istniejąca przeszło 30 lat w Paryżu, otrzymała z zapisu testamentowego J Fr. Kasparka, wychodźcy z 1831 r., około 140.000 franków z przeznaczeniem na dwa stypendya dla medyków kończących uniwersytet krakowski, a chcących dopełnić studyów w Paryżu. Wysokość stypendyum 2000 franków rocznie, a czas trwania 2 lata. Kuratorem stypendyum mianowany rektor uniwersytetu Jagiellońskiego.

Poseł do Rady państwa z większej posiadłości okręgu Rohatyn - Bóbrka, Seweryn Henzel, zdawał wyborcom sprawę z czynności poselskich d. 17 z. m w Rohatynie.

Tajną drukarnię odkryto w Tarnopolu u ucznia gimnazyum, przyczem skonfiskowano wiele druków.

Fundacya br. Hirscha w 3-cem rocznem sprawozdaniu wykazuje założenie szkół w Dąbrowie, Delatynie, Sniatynie i Sołotwinie. Do szkół rękodzielniczych fundacyi uczęszczało 257 uczniów, a ogółem szkoły fundacyi miały 7550 dzieci.

Wobec pomyślnego rozwoju szkół kuratorya fundacyi spodziewa się przyznania szkołom charakteru szkół publicznych.

Towarzystwo nauczycieli szkół wyzszych odbyło się d. 15 bm. walne zgromadzenie.

Radykali czescy odbyli d. 14 bm. we Lwowie konferencyę stronnictwa, rewizyę programu i postanowili zawiązać towarzystwo dla oświaty ludu.

Związek Sokołów odbył d. 16 i 17 bm. we Lwowie podczas drugiego zlotu sokołów polskich walne zebranie delegatów, którzy dokonali wyborów nowego wydziału i uchwalili przyszły zjazd delegatów zwołać do Przemyśla.

Kongres pedagogów polskich odbył się d. 16—18 b. m. we Lwowie i wyznaczył komisyę, która zajmuje się wykonaniem uchwały stworzenia wyższego zakładu naukowego dla kobiet w Galicyi.

III. Zjazd techników polskich, który się odbył z. m. liczył około 450 uczestników. Przez czas trwania zjazdu inż. Edm Libański wydawał *„Dziennik III. zjazdu techników polskich“*. Dnia 27 z m. nastąpiła wspólna wycieczka w Tatry.

VII. zjazd przyrodników i lekarzy odbył się we Lwowie dnia 22—26 b. m.

Zjazd rękodzielników i przemysłowców odbędzie się we Lwowie d. 12—15 sierpnia.

Zjazd nauczycieli fundacyi bar. Hirscha odbył się w Stanisławowie d. 17 i 18 b. m.

Zjazd sybiraków, zesłańców politycznych polskich odbędzie się w d. 2 września we Lwowie.

Zjazd towarzystwa „Rodzina“ miał miejsce we Lwowie d. 4 i 5 sierpnia.

Zjazd kierowników uzupełniających szkół przemysłowych odbył się we Lwowie z. m.

Tow. szkoły ludowej odbyło d. 14 i 15 z. m. walne zgromadzenie delegatów.

Powszechny kongres dziennikarzy odbyty w Antwerpii powołał komisyę z celem połączenia w jeden międzynarodowy związek wszystkich stowarzyszeń dziennikarzy na świecie.

Ludność Warszawy na początku b. roku wynosiła 515 654 głów, w tem wojska 37.332. Według wyznań: katolików 302.294, żydów 177.724, prawosławnych 18.981(??), protestantów 16.033, mahometan 216, ormian 209 i innych wyznań 194 głów.

Polaków w Petersburgu według jednodniowego spisu w r. 1890 było 21 857 osób na 46.000 katolików, z których 5.058 osób podało język ojczysty rosyjski, 174 białoruski, 30 małoruski, 60 żmudzki, 662 łotyski, 1670 litewski i t. d.

O morskie oko zatarg trwa bez końca, świadcząc nie zbyt chwalebnie o powadze władz galicyjskich. Ks. Hohenlohe, drwiąc sobie z całej akcyi rozjemczej, a zarazem z powagi sądów, stawia słupy graniczne nad Morskiem Okiem i egzekwuje w Zakopanem własne wyroki, fantuje sprzęty rządcy dóbr p. Manieckiego.

Lecznicę dla pokąsanych przez psy wściekłe, założoną w Warszawie przez dra Bujwida, po jego wyjeździe do Krakowa zarządza dr. Otto Palmirski, który świeżo otrzymoł od ministerstwa spraw wewn. nominacyę na pełniącego obowiązki zarządcy.

Satrapa warszawski, Hurko d. 11 b. m. powrócił do niestęsknionej za nim Warszawy, choć i z zastępcami satrapy nie lepiej się jej działo.

Oddziały banku szlacheckiego na Litwie zostały upoważnione do udzielania pożyczek do wysokości 75% ceny szacunkowej majątków dziedzicznej szlachcie rosyjskiej na wykup majątków od osób nierosyjskiego pochodzenia, a to na gubernie wileńską, grodzieńską, mińską, witebską, mohylewską, kijowską, wołyńską i podolską.

Uniwersytet genewski według sprawozdania zamieszczonego w *Revue scientifique*, miał w ciągu lat 17 — 175 kobiet na wydziale lekarskim, a w tej liczbie 50 polek.

Z tych 4 ukończyły studya, 10 uzyskało doktoraty. Z tych 2 porzuciły medycynę, 1 zmarła, 4 praktykują w ciężkich warunkach bytu, a tylko trzy cieszą się większem powodzeniem.

Uniwersytet paryski przyznał stopień doktora medycyny i mianował laureatką wydziału medycznego *(laureate de la faculté)* pani Bronisławie ze Skłodowskich Dłuskiej, żonie doktora medycyny Kazimierza Dłuskiego, zamieszkałego w Paryżu.

Wielką panoramę z widoków tatrzańskich przygotowują artyści-malarze: Tetmajer, Witkowski, Żelechowski i Stasiak.

Autor słownika polsko-czeskiego, p. Lotak otrzymał od Akademii praskiej subsydyum 6.000 zł. r. na wydanie dzieła. Ponieważ kwota ta nie jest wystarczającą, wydawca prof. Horky ogłasza prenumeratę

Janowice majątek ziemski w Prusiech z. kupiła komisya kolonizacyjna.

Zmarli: *Kasylda Kulikowska*, warszawianka, zmarła we Lwowie, dokąd przybyła na wystawę i dla uczestniczenia w zjazdach.

Jan Zalplachta, major polski z r. 1863, prezes koła polskiego w Bukareszcie, zmarł w Bukareszcie.

BIBLIOGRAFIA.

Zasady gospodarstwa społecznego. Napisał Teofil *Rozmarynowicz.* Część pierwsza.

Dotąd wyszły tylko pierwsze cztery arkusze druku. Nie dla wszystkich dostępne są w tej pracy rozumowania matematyczne. Wszakże znawcy sfer najkompetentniejszych bardzo wysoko cenią to małe dziełko. Choć już w literaturze, zwłaszcza francuzkiej (Wallace), usiłowano w matematyczne formułki objąć zasady ekonomii społecznej, jednak niniejsza książka wydaje się być czemś zupełnie oryginalnem; w każdym razie zawiera ślady postępu najnowszego nauki. Niestety szerszy ogół rozumieć może tylko sam początek, bardzo jasno i gruntownie napisany.

Stuletnia walka narodu Polskiego o niepodległość przez X. Y. Pod tym tytułem wyszło dawno oczekiwane a przez nas w jednym z pierwszych numerów zapowiedziane dziełko. Zakończone ono jest, jak to było przez wydawców zapowiedziane, kalendarzem »z dziejów stuletniej walki narodu Polskiego o niepodległość«. Zawiera ono ogółem 452 stronic, z jakie 60 udatnych rycin naszych bojowników bohaterskich za wolność i sprzedawane jest po niesłychanie nizkiej cenie 75 centów czyli $1^1/_2$ korony w cesarstwie austryackiem, a $1^1/_2$ marki w niemieckiem. Czyni ono mniej więcej zadość od tak dawna odczutej u nas potrzebie treściwego przedstawienia dziejów naszych porozbiorowych. Niepodobna jednak, żeby to znakomite dziełko wszystkim podobało się w jednym stopniu; mowy być nie może o tem, żeby wielka ilość i różnorodność faktów ostatnich lat stu były oceniane równomiernie i spokojnie. Przeważnie o faktach tych nic się nie wie lub też bardzo mało albo niedokładnie. Przez to najprawdziwsze, ciekawsze i najwięcej pouczające zdarzenia niedalekiej przeszłości naszej majaczeją w umysłach z fantastycznością bajek wschodnich a najczęściej rzeczy, z których możemy być dumni, są najzupełniej nieznane i opowiadanie o nich równa się często jakby objawieniu. Otóż książka powyższa ma tę największą zasługę że zawiera bardzo wielką ilość faktów potocznie i może za nadto sucho a już zupełnie bez frazeologii opisanych. Często stronnica jedna jest nastroszona krótkiemi opowiadaniami o zdarzeniach ważnych lub żywo charakteryzujących epokę; także często zdumiewać się należy, jak można było tyle rzeczy umieścić na tak małej ilości stron tem więcej, że pojedyncze zdania mają nawet niekiedy pozory raczej rozwlekłości niż treściwości.

Pomimo pewnych usterek stylowych, nie dość dbałej korrekty, i przedstawienia niektórych faktów w mniej trafnem oświetleniu i w niezupełnie dokładnej perspektywie (o czem obszerniej będziemy pisali) podnosimy tę książkę jako bardzo pożyteczną jako prawdziwe vade mecum historyczne ostatnich lat stu naszych dziejów, jako jedno z świateł, rozjaśniających może najlepiej drogi naszej mało znanej najbliższej przeszłości, a przeto ważne dla pochodu naszego na przyszłość. Surowa krytyka pojedyńczych części dzieła bynajmniej nie ujmie zasługi autorowi; przeciwnie jako najwyższą nagrodę dla niego uważalibyśmy żywe omawianie spraw przez niego poruszonych. Przeto jaknajusilniej polecamy czytelnikom naszym czytanie i rozpowszechnianie tej jedynej niestety dotąd publikacyi o najbardziej zajmujących sprawach polskich. Taka książka prostem przypomnieniem niedalekiej przyszłości staje się na równi z epopeją narodową, którą każdy patryota znać doskonale powinien, która nie dozwoli mu zwątpić i która nie tylko go natchnie dumą narodową, lecz niezawodnie popchnie do dodatniego czynu na rzecz ogółu. Życzymy jej, żeby „zbłądziła pod strzechy“, co niezawodnie nastąpi, bo lud prosty nie lubuje się w migocących i pouczająco mentorskich frazesach,

lecz raczej w prosto podanej i zdrowej strawie duchowej. Książka ta czyta się przytem, jak najwięcej zajmująca powieść, nawet kilkakrotnie z coraz nowszemi wrażeniami przy zapamiętaniu coraz nowszego szeregu faktów, których z powodu ich wielkiej ilości nie zawsze można sobie przyswoić za pierwszem czytaniem.

M. Rodoć. Satyry i Fraszki. XII. Lwów, 1894.

Nowy ten tomik *Satyr i Fraszek* M. Rodocia nie potrzebuje przypominać czytelnikom autora. Imię jego znane jest dobrze tym wszystkim, którzy miłują prawdę, a umieją cenić w pisarzu niezależność sądu i odwagę prawego człowieka. Rzadkie, niestety, przymioty dzisiaj, ale tembardziej pożądane, że niewielu ludzi potrafiło na opinię taką zapracować. Po za czystym charakterem człowieka prawdomówczego, który tem większą wartość nadaje utworom talentu, Rodoć jest pisarzem zupełnie oryginalnym. Jako satyryk, nie stworzył on rodzaju poezyi, ale stworzył dla niego odrębną, oryginalną formę, pośrednią między epigrammatem a satyrą rzymską. Epigrammat docinał najczęściej osobie, *Fraszka* Rodocia ma rzecz na względzie. Właściwa zaś *Satyra* jest u niego krótką, zwięzłą, ścisłą, pozbawioną zupełnie tej cechy rozwlekłości, jaką odznaczają się n. p. satyry Krasickiego, tej szorskiej rubaszności, jaka cechowała Naruszewicza. Rodoć nie gani w sposób salonowy złego, jak to czyni ks. biskup Warmiński, nie wymyśla jak nasz historyk w sposób tetryczny niekiedy – on jednem cięciem, że tak powiem, uderza na niezdrowy fakt lub zasadę. Obdarzony po za dowcipem, bez którego istnienie satyry byłoby niemożliwem, stając się wymyślaniem lub gderaniem, – siłą logicznego i jasnego rozumowania, Rodoć potrafi zawsze fakt pewien czy zdarzenin pochwycić ze strony najjaskrawszej — stąd też uderzenia jego są trafne i nigdy prawie nie chybiają celu.

Tomik *Satyr i Fraszek*, który czytelnikowi polecamy, posiada wszystkie wybitne cechy talentu tego pisarza. Werwa, dowcip, ciętość towarzyszą mu zawsze, od pierwszej do ostatniej karty, prawie w jednakim stopniu natężenia. Wszystkie zdrożności naszego życia prywatnego i publicznego, wszystkie jego śmiesznostki autor chwyta niejako na gorącym uczynku, stąd też każdy tomik Rodocia jest niejako kroniką satyryczną pewnej chwili bieżącej.

Takie też cechy i ostatni tomik posiada.

R—a.

J. Zacharjasiewicz: Z pod trzech zaborów. Lwów. Nakład księgarni H. Altenberga 1894.

Trzy nowelle tylko składają się na tom niniejszy: *Król filozof*, *Słomiany człowiek i Nieboszczka*. Są to nowele historyczne z ostatnią dobą istnienia Rzeczypospolitej związane treścią. Treść ta, ściśle mówiąc ściąga się tylko do dwóch zaborów — austryackiego i pruskiego; moskiewski o tyle tylko występuje, o ile mowa w ogóle o Reptej. Zresztą, tak czy inaczej — nie wpływa to zupełnie na charakter nowelek. Autor dał im podkład nieco romansowy, uczyniwszy miłość i bajkę powieściową osią opowiadań, które w ten sposób zyskują bardzo na barwności i żywości. Ulubiony niegdyś pisarz, opowiadacz współczesnych dziejów galicyjskiego społeczeństwa, przypomniał się tomikiem nowel licznym wielbicielom swego talentu, kierunku i ducha.

R—a.

Mścisław — Spis dzieł i artykułów Agatona Gillera zestawił... Przemyśl 1894.

Jest to maleńka broszurka, posiadająca charakter notatek biliograficznych i spis doń wyczerpujący dzieł i artykułów niedawno zmarłego gorącego patryoty. Gorącość temperamentu szła u Gillera w parze z małym bardzo talentem pisarskim, zabarwionym mocno sentymentalizmem Nie potrzebuję dodawać, że taka barwa odbiera dziełom historycznym poważne cechy prawdy, oświetlając ją z punktu zbyt osobistego. Nie tu jest jednak miejsce na ocenianie działalności pisarskiej A. Gillera. Nieznanemu autorowi należy się wdzięczność, że przyszłym biografom ułatwił odszukanie jego prac. Brak jednak ścisłości bibliografii Mścisława nie zawsze umożebni pójście za jego wskazówkami. Notując bardzo często: »artykuł pisany w Marcu, Kwietniu lub Październiku w takiem a takiem piśmie« łatwo, można, z braku ściślejszych określeń, zostać w błąd wprowadzonym.

W każdym razie jednak jest to praca na uwagę i uznanie zasługująca, jako dzieło wdzięcznej pamięci nieznanego czciciela m. p. A. Gillera.

R—a.

Ekonomisty polskiego, miesięcznika wychodzącego we Lwowie rok V., wyszedł zeszyt (za czerwiec) i zawiera: — 1. Zdzisław Tatarowicz: Czy Cukroniwctwo ma racyę bytu w Galicyi? — 2. Stefan Komornicki: Ludność polska w Prusach zachodnich — Przyczynek do obliczeń narodowościowych (dokończenie) — 3. S. M.: Przemysł tkacki w Galicyi. — 4. Tadeusz Dwernicki: Uprawa i wyprawa lnu i konopi w Austryi i Galicyi (dok. nast.) — 5. Wilhelm Roscher. — Sprawy walutowe. — Traktat handlowy z Hiszpanią. — Memoryał Wydziału Krajowego o przeciążeniu podatkowem. — Krakowie Tow. Wzajemnych Ubezpieczeń. — Sprawozdanie z administracyi kolei państwowych. — Ruch na kolejach państwowych.

Adres Redakcyi: Lwów, ul. Ossolińskich 15, II. piętro.

Adres administracyi: Lwów, plac Bernardyński 7, (Drukarnia Ludowa).

Kwartalnik historyczny, najnowszy zeszyt (3-ci tomu VII.) zawiera dwie większe rozprawy, a mianowicie A. Małeckiego »Ludność wolna w księdze Henrykowskiej« i An. Lewickiego »Kiedy Witold został wielkim księciem Litwy", dalej trzy pomniejsze rozprawki w rubryce »Miscellanea«: A. Kraushara „Nieznana

ciankom Jaśnie Wielmożnych Panów i dopiero wiek teraźniejszy, wiek oświaty, ludzkości i postępu, najzupełniej spełnił życzenia „większych właścicieli“, przy pomocy środków ciągle używanych przez konserwatystów, a mianowicie maleńkich rewolucyi, maleńkich zaborów, i maleńkich zamachów stanu. Baronowie i książęta mają teraz w Irlandii przywileje porewolucyjne hanowerskiej angielskiej dynastyi, jak nasi mają przywileje Mikołaja Pawłowicza, Jekateryny Aleksiejewnej, Józefa II., Fryderyka Wilhelma i innych dobrodziejów.

Sprzykrzyły się nareszcie samym Anglikom wieczne irlandzkie bunty, i zaczęto regulować ową tak konserwatywną większą własność. Ostatnia uchwała Izby gmin każe przynajmniej odwiecznym posiadaczom wynagradzać tych, którzy siedzieli na roli, kiedy praojcowie teraźniejszych legalnych właścicieli byli lokajami jakiegoś Normandzkiego awanturnika, albo lichwiarzami bardzo wygodnymi dla marnotrawnego Stuarta czy Jerzego Brunświckiego. Nie podobało się to, ma się rozumieć, konserwatystom i Izba Lordów odrzuciła ogromną większością to najsprawiedliwsze i najskromniejsze w swoich żądaniach prawo.

Stało się więc zadość Stańczykowskim zasadom, nawet w Anglii. Stronnicy pracy organicznej (przy pomocy zaborów, gwałcenia konstytucyi, prostego rabunku i t. p.) mają w perspektywie takie same wstrząśnięcia w Londynie, jakie bywały w Paryżu, we Wiedniu i w Berlinie; stotysięczny tłum dawno rozjuszony przez upór Lordów, przez odrzucenie irlandzkiej autonomii i innych postępowych uchwał, żąda już zniesienia Izby Panów z groźnym okrzykiem »*to end or to mend!*« — niech zginie lub poprawi się. Ufamy jednak, że w braku żandarmów i komisarzów przy wiecach, w braku praw wyjątkowych i stanów oblężenia, których to środeczków nigdy podobno w Anglii dotychczas nikt nie widział, obejdzie się bez oczekiwanych przewrotów; słowo i myśl zwyciężą bez wszelkich dymnych czy bezdymnych prochów.

Za to narody dalekiego Wschodu, których nasza cywilizacya uszczęśliwić miała, skwapliwie pożyczyli od nas ów strzelniczy materyał — który zresztą, choć nie w takiej postaci, był właśnie przez nich dawno wynaleziony. Wojna chińsko-japońska trwa w najlepsze i da zapewne europejskim mocarstwom pożądany powód do wmięszania się i capnięcia — że się niegrzecznie ale należycie wyrazimy — kilku kawałków »niebieskiej« ziemi. Chińczycy korzystają z każdej sposobności, by wyrazić mordami swoją nienawiść dla cudzoziemców i podobno już Francuzi, Anglicy i Amerykanie zostali przez nich gdzie niegdzie poturbowani. O tyle nas to obchodzić może, że Moskale nie zaniechają takiej sposobności, a każde powiększenie ich potęgi jest dla nas oczywiście zgubnem. Dotychczas nie wiadomo, kto kogo bije, czy Chińczyk Japończyka, czy odwrotnie; ostatnie przypuszczenie jest jednak daleko prawdopodobniejsze, pomimo ogromnej nierówności sił — jeden stoi przeciw dwunastu. Ale my sami wiemy dawno z własnych dziejów, co by tam nie mówiła krakowska szkoła, że nierówność sił rzadko stanowi o wygranej, kiedy się ktoś do bójki weźmie, jak się należy.

Z europejskich spraw mamy chyba do zanotowania ciężką chorobę Filipa hrabiego Paryzkiego, jedynego, jak na teraz, poważnego pretendenta do tronu francuskiego, prawnuka „królobójczego“ Orleańskiego księcia Filipa — Równości. Zaznaczymy przy tem, że duchowieństwo paryzkie, pomimo pozornego sprzyjania Leona XIII rzeczypospolitej, modli się na gwałt za życie prawowitego króla i Burbona. I tu konserwatyści wzdychają do przewrotu i chcą go wyżebrać od Boga pokoju i miłości. Cóż na to powie pan Kazimierz Perier?

Walka z germanizacyą.

(Szkice z X. Poznańskiego),

napisał *Izydor*.

(Ciąg dalszy).

II.

Wybory — koło poselskie i jego polityka.

Jakkolwiek z wyjątkiem Rossyi dziś już wszystkie państwa europejskie mają rządy konstytucyjne i władzę prawodawczą złożyły w ręce parlamentów, jednakże w praktyce przedstawiają dość znaczną pod względem wewnętrznego ustroju rozmaitość. — Agitacya wyborcza, wybory same, organizacya stronnictw inaczej wyglądają w Anglii, we Francyi, w Niemczech, a inaczej jeszcze w dziel-

nicach naszego kraju, które się pod konstytucyjne rządy dostały. Różnica w położeniu politycznem, we wzajemnym stosunku narodowości i stronnictw wywołuje też konieczność używania różnych środków; dla tego może nie od rzeczy będzie poinformować czytelników dokładnie, jak się te sprawy u nas przedstawiają.

Z natury rzeczy wynika, iż całe koło posłów naszych występuje w parlamencie niemieckim zarówno jak w sejmie pruskim jako jedno zwarte stronnictwo. Bez względu na osobiste przekonania naszych deputowanych, każdy z chwilą, gdy na krześle poselskiem zasiądzie, pozostaje już tylko Polakiem i z innymi Polakami choćby całkiem odmiennych przekonań iść ręka w rękę jest zmuszonym. Ponieważ to nasze jedyne stronnictwo ma tak wyłącznie narodowy charakter, obcych żywiołów wciągać do niego nie można — wzmaganie się jego liczebne kosztem innych partyi zostaje zupełnie wykluczonem. Agitacya wyborcza, która w innych krajach polega na dysputach, przekonywaniu, kaptowaniu wyborców, chcąc ich bądź konserwatywnemi, bądź liberalnemi, bądź wreszcie socyalistycznemi zasadami przejąć — u nas nie ma racyi bytu. Żadne namowy ani perswazye z Niemca Polaka nie uczynią. chodzi więc jedynie o to, aby ile możności wszyscy nasi rodacy brali udział w wyborach i aby wszyscy wyborcy danego okręgu na tegoż samego posła głosowali. — Stronnictwo więc nasze wzmagać się może liczebnie o tyle tylko, o ile rozpowszechni się we wszystkich sferach społeczeństwa i we wszystkich zakątkach kraju poczucie obowiązków narodowych i konieczności jednomyślnego działania. — Agitacya Polaków polega też wyłącznie na budzeniu ducha narodowego, świadomości praw naszych i ideałów, wreszcie na takiej organizacyi wyborczej. któraby jak największą jedność i siłę wytworzyła. Że tego rodzaju tryb postępowania w naszem położeniu jest jedynym, który do celu prowadzi, tego chyba dowodzić nie potrzeba. Gdyby szczupła garstka posłów naszych rozprószyła się między różne miejscowe stronnictwa — znaczenie jej spadłoby do zera i dla narodowych naszych interesów nie mielibyśmy w izbach prawodawczych żadnego oparcia. Złączone w jednolitą całość stanowi bądź co bądź jakąś zbiorową jednostkę, z którą w pewnych warunkach i rząd i stronnictwa inne liczyć się potrzebują. Wprawdzie nie ma nadziei, aby jej znaczenie podniosło się kiedykolwiek do tego stopnia, aby mogła swych przewódców do ministeryum wprowadzić i czynny udział wziąść w rządzie, — o ile jednak zręcznie swemi losami kieruje, może się w wielu wypadkach stać tej lub owej partyi potrzebną i na drodze wzajemnych ustępstw jakieś poparcie dla swoich interesów zdobyć. Z natury rzeczy wynika, że im większą jest liczba naszych głosów w parlamencie i sejmie — tem większa szansa zdobycia sobie politycznych sprzymierzeńców, to też mimo, że agitacyi w pospolitem rozumieniu tego słowa u nas nie ma, gorączka wyborcza bywa nie mniejszą, niż gdziekolwiek. Przeciwnie choć na razie cyfr odnośnych przytoczyć nie mogę, statystyka wykazuje, iż w polskich okolicach państwa liczba oddanych głosów stanowi stosunkowo do innych prowincyi — najwyższy procent liczby wyborców, — to jest największa ilość uprawnionych do głosowania z praw swoich korzysta. Każdorazowe wybory są dla nas pewnego rodzaju statystyką narodową, świadczą o tem, ilu nas jest, na ilu istotnych czynnych Polaków liczyć możemy. Jestto pewien rodzaj rewii, w której obliczamy i konstatujemy swoje siły. Przy tem wybory do parlamentu na zasadzie powszechnego głosowania oparte dają nam miarę naszej siły liczebnej, podczas gdy wybory do sejmu pruskiego normowane stopą podatkową pozwalają siły materyalne obliczyć *).

Porażka zawstydza nas i do powetowania strat zagrzewa, zwycięztwo dodaje nam otuchy. To też chwila wyborów jest dla nas niezmiernie ważną i zbroimy się gorliwie do walki. Wstępnym krokiem do niej są przedwyborcze zebrania i wiece. — Te ostatnie w europejskich językach mityngami zwane, zwoływane bywają po za tem w każdej ważniejszej dla narodu chwili, wówczas gdy agituje się jakaś sprawa większej doniosłości: projekt jakiego wniosku polskiego w izbach prawodawczych, obrona przed

*) W jednym z pierwszych rozdziałów powiedziane zostało, iż z tej przyczyny liczba naszych posłów w sejmie stale się zmniejsza. Miło jest sprostować tego rodzaju omyłki, miło nie mieć racyi, gdy się smutne wypowiada wróżby. W tegorocznych wyborach przybyło w sejmie pruskim dwóch polaków w kole polskiem, jeden na Szlązku, ten ostatni niestety do stronnictwa centrum się zalicza.

nowem niekorzystnem dla nas prawem lub szerszego znaczenia reforma państwowa. — Mają one na celu objaśnienie wyborców o kwestyach ogół dotyczących, zachęcanie ich do popierania dążności posłów, słowem zyskiwanie ich aprobaty i współdziałania w ważniejszych sprawach. Przemawiają na nich przedstawiciele inteligencyi, zarówno jak i mówcy z ludu, — jestto sposobność do porozumienia się wzajemnego i wytknięcia wspólnego kierunku działania. Na przedwyborczych zebraniach, odbywających się po powiatach, okręgi wyborcze stawiają swoich kandydatów, zawsze po kilku, a ten, który najwyższy stopień ich zaufania posiada i na znaczniejszą ilość głosów otrzyma, zajmuje naczelne miejsce. Rezolucye swe posyłają wyborcy do komitetu prowincyonalnego a przy okazyi wyboru kandydatów równocześnie wypowiadają swe życzenia, polecając opiece ewentualnego posła sprawy, które im najbardziej leżą na sercu. Komitet prowincyonalny po rozważeniu nadesłanych sobie list naznacza polskich kandydatów na wszystkie okręgi wyborcze z tą uwagą, aby posłowie, którzy najszerszem uznaniem się cieszą tj. w największej ilości powiatów głosy otrzymali w najpewniejszych tj. najwięcej polskich głosów liczących okręgach o krzesło się ubiegali. Z chwilą gdy nazwiska kandydatów naszych są wiadome, zależy już jedynie na tem, aby jak największa ilość wyborców polskich obowiązki swe spełniła. Nie chodzi tu już o osoby, lecz o jak najpomyślniejsze przeprowadzenie kampanii. Po wszystkich miasteczkach i wioskach rozsyłają się odezwy i kartki z nazwiskami posłów. Obywatele zaopatrują w nie swych ludzi służebnych, księża swych parafian, a we wsiach, należących do właścicieli niemieckich, polscy sąsiedzi nie zaniedbują dostarczyć ich podwładnym odpowiedniej ilości kartek wyborczych. Chłopi zresztą wiedzą doskonale, o co chodzi, nie mówię już o gospodarzach niezależnych; a zdają sobie sprawę ze swych obowiązków społecznych równie dobrze, jak ich oświeceńsi rodacy, ale nawet parobcy, rataje, fornale wiedzą dobrze, że na »głoski« jak mówią iść trzeba koniecznie, żeby »Niemcy« swego posła nie przeprowadzili. Wszystko to zresztą prawie ludzie piśmienni, a jeśli z nich który sam z pewną trudnością litery poznaje i w wyrazy zestawia, to w każdym razie polityką interesuje się żywo i dopytuje się pilnie o to, co w gazetach »stoi«. Oświeceńsi i zamożniejsi trzymają pisma ludowe i wiadomości wyczytanych udzielają drugim tak, że każdy prawie z naszych wyborców ma jakie takie pojęcie o położeniu narodu a udział najciemniejszych nawet w życiu politycznem czczą formalnością nie bywa. Zainteresowanie się miejscową polityką jest bardzo powszechne, bardzo żywe i z bardzo zrozumiałych płynące pobudek. Lud nasz wie doskonale, że rezultaty rozpraw parlamentarnych dotykają go równie dobrze jak i panów, a doświadczenie nauczyło go, że skutki tego, co w Berlinie uchwalonem zostało, częstokroć na jego własnej odbiło się skórze, bądź w formie podwyższonego podatku, zwiększonej dozy niemczyzny dla jego dzieci, bądź też jako zmianę cen zboża lub — jak podczas walki kulturnej — pozbawienie go umiłowanych religijnych obrządków. Polityka dla niego jest kwestyą nie czysto teoretyczno-idealnego znaczenia, lecz sprawą realną, żywotną i ważną. To też większość wyborców naszych z gorliwością i namaszczeniem pewnem spieszy kartkę swą wrzucić do urny. Znam kilka dość drastycznych przykładów tej gorliwości. Pamiętam np. pewnego młynarza, który gościa swego kijem przekonywał, że obowiązków wyborcy Polak zaniedbywać nie powinien. Ta dobitna argumentacya odniosła pożądany skutek i nazajutrz gość i gospodarz w najlepszej zgodzie udali się razem w miejsce oznaczone dla oddania swych głosów. — Nawiasem wspomnę, iż Sienkiewiczowski »Bartek zwycięzca«, znakomity jako typ chłopa w ogólności, jako typ włościanina poznańskiego jednak jest już dziś mocno przestarzały, a nawet rzec się ośmielę anachronizmem był i w tej epoce, do której się odnosi. Lud poznański nadto jest świadomy swego politycznego stanowiska, aby huk pękających bomb i odgłos komendy wojskowej miał w nim niechęć do Niemców i uczucia patryotyczne zagłuszyć. Wtajemniczeni w nasze sprawy, czytając te bardzo piękną zresztą nowelkę, mają w niej wyraźne dowody, iż autor nie badał na miejscu stosunków, które kreślił. Owa dziedziczka, chodząca od chaty do chaty werbować głosy dla swego męża, ów urzędnik pruski wzywający głupiego Bartka, aby głos jego swemu kandydatowi zapewnić, są to rzeczy wprost u nas niemożliwe. Po pierwsze agitacya

prowadzona w ten prawowity, drobiazgowy sposób trwałaby ze dwa lata, po drugie, wreszcie, jakkolwiekbądź dzieje się w innych krajach lub nawet w innych stronnictwach w Niemczech, u nas nie zdarza się nigdy, aby przyszły poseł sam w roli agitatora własnego wyboru występował. Między nami mandat poselski uważa się jako dowód zaufania wyborców, o który samemu starać się nie wypada. Można mandat przyjąć lub go odrzucić ale poseł, któryby uprzedzał życzenia wyborców sam własną kandydaturę stawiając, narażałby się na taką śmieszność jak np. panna na wydaniu, któraby wszem wobec opowiadała: »Pójdę za pana X., jeżeli mi się oświadczy«. Jestto naturalnie kwestya zwyczaju i tylko od zwyczaju zależy, jak się na dany fakt opinia publiczna zapatruje. W naszych stosunkach przyjęło się, że nie posłowie o wyborców, lecz wyborcy o posłów się starają. Naturalnie i zwyczaj ten musi mieć głębsze przyczyny. U ludów wolnych krzesło poselskie bywa niekiedy pierwszym etapem do jakiegoś wyższego stanowiska a w interesie osobistym jednostki leżyć może, aby się do gmachu prawodawczego wcisnąć. U nas, gdzie jedyną nagrodą parlamentarnej pracy może być cokolwiek rozgłosu i to rozgłosu ograniczającego się przeważnie na jedną prowincyę, gdzie materyalnie mandat poselski przynosi tylko straty, a żadnej zupełnie karyery nie otwiera, przyjmuje się go jako obywatelski obowiązek, missyą zaszczytną wprawdzie, lecz bynajmniej nie zyskowną, urząd honorowy wreszcie jako jedną więcej pracę bezpłatną Naturalnie niekiedy z pobudek miłości własnej ten lub ów deputowany radośnie wita fakt, że nazwisko jego wyszło z urny wyborczej, ponieważ jednak o zaszczyt ten jest u nas bardzo łatwo, gdyż wobec małej ilości ludzi zdolnych i wykształconych a materyalnie niezależnych, każdy z tej kategoryi mniej więcej ma szansze ujrzenia się na liście kandydatów, zbyt wielkiej wagi do tytułu posła się nie przywiązuje. Zdarza się między nami, że nazwisko którego z naszych reprezentantów staje się hasłem walk stronniczych, kłótni gazeciarskich; w wypadkach tych jednak pozornie tylko grają rolę osoby, w gruncie rzeczy zaś chodzi o zasady. Przedmiotem tych sporów bywają jedynie ci posłowie, którzy w dłuższej karyerze parlamentarnej indywidualność swą wybitnie zaznaczyli i utożsamili się poniekąd z pewnym wyznawanym przez siebie kierunkiem. Nazwiska ich stają się jakoby sztandarami pewnych stronnictw i jeśli wyborcy walczą czasem zawzięcie, aby ten, nie zaś inny deputowany ich mandat otrzymał, to dla tego, że wiedzą z góry, jak on w danym razie sprawą ich pokieruje. I w tych jednak wypadkach osobistość, o którą sprawa się toczy, bezpośrednio zupełnie na bieg wypadków nie wpływa i do walki się nie miesza, biorą w niej udział wyłącznie jej polityczni współwyznawcy. Według tego, co wyżej powiedziano wszystkie tej kategoryi kwestye rozstrzygają się między nami w epoce przygotowawczej, w porze wieców i przedwyborczych zebrań, — do urny przystępujemy jako jednolita, pod jedną komendą maszerująca armia. Ludzie zajmujący się temi sprawami na miejscu, twierdzą że nasza organizacya polityczna pozostawia wiele do życzenia, że należałoby ją bardzo zreformować, aby ją wzmocnić i ogarnąć nią szerszy zakres. Byłoby np. rzeczą pożądaną, by zamiast dotychczasowych komitetów prowincyonalnych utworzono jeden centralny, ogarniający wszystkich Polaków pod pruskim żyjących rządem. Sprawa ta byłaby bardzo na dobie obecnie, gdy dzięki coraz rozpowszechniającej się między naszymi ziomkami świadomości politycznych praw i obowiązków budzą się do narodowego życia i takie zapomniane odłamy polskości jak Warmia i Szląsk górny, gdy wreszcie i nasi w Berlinie zamieszkali bracia zaczynają się ruszać i do udziału w życiu politycznym się zabierają. Należałoby bez wątpienia dać tym oazom polskim pewne poparcie, pokierować ich pierwszemi krokami i przypuścić ich do ścisłego z poznańskiem ogniskiem politycznem sojuszu. Być może, iż rok obecny stanowi w naszych politycznych rocznikach punkt zwrotny ku lepszej przyszłości Zaznaczył się on dwojakiemi wyborami i z obu wyszliśmy zwycięzko, zyskawszy i w parlamencie i w sejmie po dwa krzesła poselskie. Pozostanie on pamiętny i z tego względu, że po raz pierwszy uzyskał mandat nasz rodak w dwóch tak dawno germanizowanych dzielnicach, jak Szląsk i Warmia Ten ostatni fakt ma stanowczo dość ważne znaczenie ze względu na to, iż był on zdawna przygotowany i jest, nie jak sądzono tu i owdzie, wynikiem rozdwojenia stronnictw niemieckich, lecz rezul-

tatem wytrwałej społecznej pracy patryotów poznańskich. Ludność tych dwóch oddalonych prowincyi już od dość dawnego czasu zaopatrywaną była w książki i pisma polskie; na Szlązku ukazały się ludowe dzienniki polityczne w dość odległej stosunkowo epoce, Warmia pierwszą swą polskę gazetkę drukować zaczęła dopiero przed 10 lub 12 laty najwyżej (być może iż cokolwiek później, gdyż dat odpowiednich nie mam pod ręką). Drukowane słowo stało się moralnym łącznikiem między temi wysuniętemi placówkami, a głównym sztabem poznańskim i od tej chwili owe mówiące po polsku grupy poddanych pruskich wzmagały w sobie stopniowe narodowe uczucia, aż wreszcie w roku obecnym zapragnęły je i na politycznej zamanifestować arenie. Pierwsza próba jak widzimy uwieńczona została powodzeniem. Szlązk jak wiadomo jeden z głównych punktów kafolicyzmu niemieckiego, mógłby nam znacznie większej ilości posłów dostarczyć, gdyby nie przemożny wpływ duchowieństwa, któremu ma się rozumieć interesy kościoła więcej od spraw krajowych na sercu leżą. Prowincya ta dostarcza głównego kontyngensu posłów do centrum i dotychczas ludność miejscowa polska głosami swemi członków tegoż stronnictwa popierała. Jakkolwiek w tym roku kilka kandydatur własnych postawiono, jednakże jedna z nich tylko się utrzymała, i znowu wpływ partyi katolickiej sprawił, że wybrany poseł nie w kole polskiem lecz w centrum zasiada. W interesie naszym byłoby naturalnie protestować przeciw tego rodzaju układom i wcielać w nasze koło parlamentarne wszystkie pokrewne narodowością żywioły.

Na razie jednak energiczniejszą opozycyę utrudnia niezmiernie dawny i zażyły stosunek między nami a stronnictwem centrum, więcej jeszcze wpływ potężny, jaki katolicyzm i duchowieńswo katolickie na sprawy nasze zdobyło. Zródeł jego szukać należy w wypadkach, które chwilę obecną poprzedziły.

Walka kulturna, stanowiąca dość długi i ważny okres w dziejach polityki wewnętrznej Bismarka, zakończyła się jak wiadomo wielką porażką żelaznego księcia, pielgrzymką do Kanossy, najzupełniejszym odwrotem. Skutki jej były w każdem polu wprost przeciwne tym, jakie ów wielki mąż stanu osięgnąć zamierzał. Jej to zawdzięcza stronnictwo centrum swą organizacyą i siłę liczebną, ona wzmocniła wpływ duchowieństwa, ona wreszcie w naszych dzielnicach zespoliła ściśle narodowe ideały z religijnemi i złączyła te dwa pierwastki w jeden dziś prawie nierozerwalny związek. Walce kulturnej jedynie zawdzięczamy to, że duchowieństwo wzięło czynny udział w życiu publicznem, w agitacyach wyborczych, dyskussyach parlamentarnych, wreszcie w pracy społecznej wewnętrznej. Zamiast ograniczać się na sprawowaniu swych religijnych czynności i wpływ swój na lud wyłącznie na kazalnicy lub w konfesyonale podtrzymywać, księża zaczęli przemawiać na wiecach, wchodzić jako członkowie do towarzystw rolniczych i przemysłowych, tu i owdzie przewodniczyć w kółkach włościańskich, wreszcie zakładać kasy oszczędności, spółki zarobkowe, czytelnie bezpłatne. Patryoci zyskali w nich istnych i wpływowych sprzymierzeńców, pożytecznych współpracowników na narodowej niwie, a natomiast społeczeństwo, w sprawach kościoła jednomyślnie i zgodnie działając, odwdzięczało duchowieństwu życzliwem i serdecznem poparciem w chwilach, gdy tor jego istotnie nie był godnym zazdrości. Ukształtowanie się stosunków w ten sposób wywołało ogromny, niesłychany w naszych czasach rozkwit klerykalizmu, który obecnie razić może każdego, kto po raz pierwszy w poznańskiem przebywa. W obec nowego zwrotu polityki mógłby on nawet razić pewnem niebezpieczeństwem narodowości polskiej, jeśliby naprzykład który z naszych przewodników kościoła zapragnął wstępować w ślady kardynała Ledóchowskiego z jego pierwszej »maniery», z epoki przed uwięzieniem, gdy ów dygnitarz jeździł winszować Wilhelmowi I. zwycięstwa nad Francuzami i głosił o sobie: »Romanus sum». Na razie jednakże rzeczy jeszcze tak źle nie stoją — przedwczesne dążenie do reformy pojęć ogolnych, naraziłoby nas niechybnie na większe jeszcze niebezpieczeństwo. Przeciwstawienie interesów polskich interesom katolickim dziś, gdy żadna faktyczna kolizya tego nie wymaga, rozdzieliłoby naród na dwa wrogie obozy a zaprawdę jesteśmy nie dość liczni i potężni, aby sobie na zbytek walki domowej pozwolić. Wszelkie inne miejscowe zatargi, jak obecny n p. między partyą dworską a narodową, są zaledwie małem nieporozumieniem w porównaniu z tym zawziętym bojem, jakiemu dałaby hasło pierwsza scycya między narodowością naszą a kościołem

Po której stronie pozostałoby zwycięstwo, o tem przesądzać nie można; jakkolwiekby jednak rzeczy u nas na miejscu stanęły — rozważyćby trzeba tę okoliczność, że klerykalizm znalazłby oparcie u katolików niemieckich, w Rzymie wreszcie, — patryoci polscy zaś pozostaliby bez sprzymierzeńców i w kraju i po za nim. W takich warunkach dziwić się nie można, że we wszystkich sprawach z którychby tego rodzaju polsko-katolicki zatarg mógł wyniknąć poczynamy sobie niezmiernie ostrożnie. Nie mogąc w obecnej chwili nic uzyskać — obawiając się wielkiej ponieść straty, wolimy nie budzić licha kiedy śpi i trzymać się starej tradycyi łączenia polskości i katolicyzmu w jedno nierozerwalne pojęcie. Ktoby jednak przypuszczał, że chłop poznański pod wyłącznym i wszechwładnym wpływem księży pozostaje, że jest przedewszystkiem katolikiem a polakiem w dodatku — ten miałby niezupełnie właściwe o rzeczy pojęcie. Istotnie w poglądach ludu Polak i katolik — Niemiec i protenstant są nieomal synonimy, wynika ztąd jednak zarówno pewnego rodzaju podejrzliwość względem uczuć religijnych.

Tak np. z najgłębszem przekonaniem zapewnić mogę mych czytelników, iż polscy chłopi na nabożeństwo księdza niemieckiej narodowości uczęszczaćby nie chcieli, sądzę iż i niektórzy mieliby wątpliwości, czy przez takiego proboszcza udzielane sakramenta byłyby dostatecznie ważne. Nawet względem duchownych polskich, o ile by ci do uczuć swych narodowych nie dość wyraźnie im się przedstawiali — okazywaliby pewną nieufność. Poszanowanie dla duchowieństwa nie wyklucza tu bynajmniej krytyki w razach, jeśli pasterz dusz na niewłaściwą drogę wchodzi i owieczki swe na nią pociągnąć usiłuje. Kościół dla ludu naszego jest instytucyą tak świętą i drogą, niemczyzna zaś rzeczą tak wielki wstręt budzącą, że uważałby on po prostu za profanacyą, gdyby pierwszy stać się miał narzędziem propagowania drugiej. Z tej strony więc niebezpieczeństwo nam nie grozi, lud nasz przez katolicyzm zgermanizować się nie da. Dalej znów uspokoić muszę czytelników, że i księża nie daliby się łatwo użyć do rozszerzania antypatryotycznych przekonań. Jakkolwiek kościół w zasadzie samej, w założeniu jest kosmopolityczną insytucyą i sama jego organizacya, hierarchia, ustrój wewnętrzny sprawiają, iż ksiądz każdy jest bezwarunkowo poddany swej rzymskiej władzy, jednakże u nas też same warunki, które sprzyjały rozwojowi klerykalizmu wśród ludności, wciągnęły księży w społeczną pracę i przeważną ich część uczyniły obywatelami kraju. Z początku działo się to naturalnie w interesie kościoła; chodziło o zdobycie większego wpływu na opinią i na miejscową politykę, później jednak zadzierzgnęły się między duchowieństwem a innemi sferami społeczeństwa tak liczne i silne węzły — wytworzyła się tak znaczna liczba istotnych patryotów w sutannie, że gdyby naraz wybuchła jakoś niespodziewina zresztą kolizya między kościelną narodową polityką, nastąpiłby niewątpliwie rozłam nietylko wśród narodu, lecz nawet w łonie samego duchowieństwa. Znajdują się naturalnie między nim także osobniki, którym poza kościołem a zwłaszcza poza własną karyerą wszelkie inne sprawy są zupełnie obojętne — jest wielu takich, dla których narodowość zawsze na drugim stać będzie planie — wskazówki z Rzymu na pierwszym; znaczna ilość jednakże nietylko po polsku kazania mówi — lecz po polsku czuje i myśli, u tych zaś wszelkie narodowe dążności silny spotkałyby opór.

Niebezpieczeństwo kolizyi, o której wspominaliśmy wyżej, groziło nam właśnie w epoce paktów i wzajemnych uprzejmości między ks. Bismarkiem a Watykanem. Nasi katoliccy sprzymierzeńcy wracali już do łaski — my z podwójną siłą byliśmy gnębieni, — można się było istotnie obawiać, że zdradzą oni nas w chwili dla siebie pomyślnej i, podając rękę do zgody naszemu prześladowcy, użyczą mu pomocy w zgubnych dla nas dążeniach. Dostaliśmy wówczas arcybiskupa Niemca, który jednak zawiódł oczekiwania rządu, gdyż niczem nie zdradził germanizatorskich dążności. Ów poczciwy ksiądz Dinder nie był wcale osobistością popularną a to wyłącznie dzięki swemu pochodzeniu, gdyż zresztą niczem na niechęć Polaków nie zasłużył. Epoka ta nie trwała długo — nowe zmiany na politycznym horyzoncie dały nam całkiem nieprawdopodobne niespodzianki. Rządy cesarza Wilhelma I. i wielkiego filaru cesarstwa ks. Bismarka trwały tak długo — a były dla nas tak ciężkie, że choć wszyscy pragnęli zmiany — nikt nie wierzył na seryo, aby ona mogła nastąpić. Nawet tak naturalny fakt jak śmierć zgrzybiałego monarchy — przestano już wciągać w polityczne rachuby

Żył tak długo — przypuszczano nareszcie, iż chyba wcale nie umrze. Naturalnie o tę niespodziankę było najłatwiej; choć twórca cesarstwa niemieckiego zwyciężył trzech sąsiadów — praw natury pokonać nie zdołał a wraz z jego śmiercią nastała epoka szybkich zmian i przewrotów w polityce wewnętrznej. Obiecywano sobie wiele po nieszczęśliwym cesarzu Fryderyku, licząc na jego humanitarne i czysto konstytucyjne zapatrywania; błyskiem nowej ery była wycieczka cesarzowej Wiktoryi do nawiedzonego powodzią Poznania, gdy jednak co zresztą zdawało się od razu nieuchronnem, skończyło się studniowe panowanie koronowanego męczennika nadzieje się rozwiały, gdyż wedle ogólnej opinii — wnuk miał niewątpliwie w ślady dziadka wstąpić i z pomocą Bismarka po bismarkowsku rządy sprawować. Że właśnie ów młody monarcha targnie się na tę potężną w Niemczech powagę, że nie śmierć lecz wola jego młodziutkiego wychowańca usunie z areny publicznej człowieka, który tak długo trzymał w rękach wszystkie sprężyny europejskiej polityki — tego najśmielsze hypotezy dziennikarzy przypuścićby się nie odważyły. Upragniona dla nas jako dla Polaków chwila upadku Bismarka zaskoczyła nas zupełnie z nienacka — a upragnioną była ona istotnie. W poznańskiem nawet dziewki przy praniu mówiły nieraz, że wszystko byłoby lepiej gdyby ten tam jakiś Bismark z...ł! Po tym ważnym przełomie nastąpiła polityka »nowego kursu«, czem on jednak jest właściwie, tego nie podejmuję się określić i isotnie wątpię, czy ktokolwiek zdołałby mi dać wyczerpujące objaśnienie. Nowy władca, jak był przed 6-ciu laty, tak i do dziś dnia pozostał dla wszystkich zagadką. Nie wiadomo ani jakiemi są jego cele, ani jakiemi drogi, po których do nich dąży. Przemawia dużo i szumnie, nic jasnego jednak nie powiedział, pragnie spokoju, od stóp do głów się broi, leży mu na sercu los robotników i reforma socyalna, a nieustannie zwiększa podatki, chce wszystkich zadowolnić — jednak do obecnej pory nie zadowolnił nikogo.

Wreszcie obiecywał zmiażdżyć każdego, kto mu w drodze stanie a nie słyszeliśmy, aby kogo zmiażdżył, choć niejeden już drogę mu zastąpił. Zapewniają wszyscy, że jest pełen najlepszych chęci — istotnie dotychczas rządów swych żadnem prześladowaniem nie splamił, cokolwiek jednak mówią optymiści, w naszych oczach jest to dopiero próbą panowania, szukaniem drogi nie jest jednak żadnym wytkniętym kierunkiem i systemem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

POWIEŚĆ i POEZYA.

Malarz z Poręby.

Obrazek z życia ludu galicyjskiego.

napisał *Kroć.*

(Ciąg dalszy).

Właścicielem obecnym Poręby był Juljusz Malski. Rodziców nie miał, ojciec odumarł go przed dwoma laty i zostawił mu pięknie zagospodarowany majątek bez grosza długu. Juljusz za życia jeszcze ojca kształcił się za granicą, a że to było w modzie, chodził w Berlinie na medycynę, chociaż on i ojciec wiedzieli dobrze, że Juljusz Malski doktorem nigdy nie będzie, z tej bardzo prostej przyczyny, że jako jedynak odziedziczy bardzo intratną Porębę; a jak dobrze pójdzie, i stryjek Wincenty kipnie — to i Maluszyn z pewnością. W dwudziestym trzecim roku, w niespełna kilka miesięcy po śmierci ojca, objął gospodarstwo w Porębie sam na siebie. Instalacyę swoją zaczął od kardynalnych reform; najprzód zaciągnął pożyczkę w Towarzystwie, a potem wypędził dawnego rządcę a przyjął na jego miejsce jakiegoś Niemca, który mu kiedyś jeszcze w Berlinie tyle nablagował o swojej uprawie cykoryi i o użyciu superfosfatów, że bez namysłu kontrakt z panem Wilsenem na lat dwanaście podpisał. Do gospodarstwa odtąd nie zaglądał wcale, ale do kasy za to tak często, że w końcu została nie na żarty — kasą galicyjskiego szlachcica.

Pan Juljusz bawić się lubiał — gości zawsze było pełno u niego; z okolicy, z dalekich stron nawet, przyjeżdżali koledzy do Julka, aby wznowić mile dawniej spędzane chwile z czasów jego pobytu w Krakowie. Właśnie zjechała teraz do niego wesoła kompania. Po dobrym obiadku, usiedli we czworo do zielonego stolika, rozweselali się wspomnieniami minionych chwil. Opowiadano sobie teraz romantyczną przygodę

statua dolorosa! O kompletnie nie udał mu się ten ostatni!.. To mówiąc, zamknął teczkę i oddał ją Zawadzie, chcąc jednakże ostatni sąd o uczniu troszkę złagodzić, dodał jeszcze: — W każdym razie zdolności są, nie ulega wątpliwości... no wprawdzie nie takie jak u tego... tego... pamiętasz Edwardzie ?.. ojojoj! co to z nami chodził do gimnazyum, Ła... La!...

— Łaguń! — dokończył Edward

— Łaguń? cha cha cha! Łaguń! także Plesiosaurus z Miocenu!... przerwał Zeno, biorąc się za boki. Zawada czuł się w obowiązku sprostować geologiczną pomyłkę.

— Przepraszam, że się wtrącę, ale plesiosaurusy żyły w jurajskiej epoce.

— Tameś ich pan znalazł? w takim razie dziękuję! — ze skwaszoną miną odpowiedział Zeno.

— O czem to mówiłem? — przerwał Juljusz — aha!... Łaguń...; otóż ten Łaguń jak narysował profesora Grysiaka z łysiną, kiedy tłomacząc Cycerona, zabijał muchy na łbie — to ci boki zrywać, taka pocieszna facjata. Oto był talent! — ciekawym, gdzie się Łagonisko podziało?

— Ożenił się podobno z babą, co była od niego dwa razy starszą, dwa razy grubszą i ze cztery razy głupszą!...

— Poczciwota! ale wracając do rzeczy, pański elew, nie przeczę, ma talenta, nie takie znów, aby nam zwiastowały nowego Murillę Rafaela; wysyłać go — bo zapewne chodzi panu o to, aby poszedł w świat...

— A sam goły jak bizun? — odpowiedział Zeno.

— Od urodzenia!... dodał Erazm.

— Tak jest — odpowiedział Zawada Juljuszowi.

— Otóż ja, jeźli mam powiedzieć szczerą prawdę, to jestem temu wręcz przeciwny. Utrudnień, co prawda, żadnych robić nie będę, jakbyś go pan chciał wysłać koniecznie, ale stanowczo odradzam. Zwichnięty los chłopaka — w tych czasach odrywać go od roli i od pługa, a pchać go gdzieś w świat nieznany, pokazywać mu ideały niedosięgnione, wyzyskiwać tę iskrę talentu na jego zgubę!

Pan Juljusz zapalał się, odjeżdżał, aż w końcu zajechał... na porównanie dwóch szkół malarskich w XVI-tym wieku!.. Zawada stał i, chcąc nie chcąc, słuchał łaskawej prelekcyi — o zawracaniu mózgów!..

Franek tymczasem zwrócił swój wzrok na duży obraz zawieszony na ścianie i ciągnął profesora za połę od surduta. Juljusz wpadał w prawdziwą wenę poetycką, był właśnie w najciekawszym miejscu o nowym sposobie rozcierania farb, gdy w tem Franek, wpatrujący się obraz, nie mógł już dłużej wytrzymać — jak szarpnie profesora za surdut i zawoła!

— Patrzajno pan, a dyć to jak żywy się patrzy... Śmiech ogólny przerwał słowa Frankowi, a Zawada dał mu znak, aby się uspokoił. Juljusz tymczasem nie tracił na fantazyi i zajechałby z pewnością w swoim opowiadaniu od obrazów do majolik weneckich, albo i jeszcze dalej, gdyby nie głos Zenona, który zwrócił jego uwagę, że całą godzinę już gada. Zawada zaś widząc, że się z panem Juljuszem nie dogada, a chcąc postawić sprawę kantem, zapytał go:

— Więc czy Franek może liczyć na łaskę pańską i pomoc?

— Ale w każdej chwili i zawsze — odpowiedział Juljusz z uprzejmością.

Profesorowi oczy się zaświeciły odrazu, gdy w w tejże samej chwili padł na niego grom rozczarowania. Juljusz kończył swoje.

— W każdej chwili, jeźli będzie się tylko porządnie prowadził, znajdzie, u mnie miejsce. Jeźli się nie mylę i teraz jest nawet miejsce — parobka do koni, pierwszeństwo zawsze jemu zostawiam, jeżeli tylko, jak mówię, będzie się uczciwie prowadził.

Zawada osłupiał. Widział, że niema co dłużej tu robić, pożegnał więc Juljusza i wyszedł. Na wychodnem szepnął tylko półgłosem.

— A więc zostanie — Frankiem złodziejem!..

— W salonie zabawiano się jeszcze długo osobą profesora i jego elewa. Hr. Zeno robił na ten temat zabawne porównania! Całe towarzystwo było w wyśmienitym humorze — aż podano i wieczerzę.

* * *

Rok prawie ubiegł od tej chwili.

W gorący dzień czerwcowy na dworskiem pastwisku nieopodal od drogi, wiodącej do miasteczka, pasło się bydło, krowy i starszego jałownika kilkanaście sztuk. Tuż leżał jakiś pastuszek w koszuli przewiązanej paskiem. Widocznie zajęty był czemś bardzo,

bo czasem tylko wzrok odwracał od ziemi lub też wstał, rozglądnął się wokoło, jakgdyby patrzał czy go kto nie widzi, a gdy nikogo nie zobaczył, kładł się znowu i robił swoje dalej.

Byłto Franek... Kpił sobie długo z służby dworskiej, ale jak zima przyparła, a nie było co robić i z czego żyć w domu, rad nie rad musiał swoje farby i ołówki w kąt rzucić i prosić we dworze o miejsce, które mu dziedzic przyobiecał. Dano mu z początku służbę przy koniach, ale ponieważ był jeszcze za młody i za słaby do ciężkiej roboty, musiał ustąpić miejsca silniejszemu a sam przyjąć obowiązek pomocnika przy pastuchu dworskim. Gdy przyszło lato wyganiał sam bydło w pole, bo pastuch musiał robić porządki w oborze. Bydło się pasło — a on siadał, wyciągał z za pazuchy kawałek papieru, ołówek biały, zaciął go czerwonym kozikiem, na rzemyku u paska zawieszonym, i rysował. Tylko oczy mu się świeciły, a na blade, wychudłe oblicze, występował rumieniec zadowolenia.

Dziś także coś malował czy rysował? Przed nim leżała ćwiartka białego papieru na deszczułce; pióro maczał w kałamarzyku a namaczawszy chował go zaraz za pazuchę. Oczy to w tę, to w ową rzucał stronę, jak gdyby się bał tego, co robi. O! bo Franek niecnota! Mówiła mu matka: »nie kradnij!« — a on krzyże na cmentarzu malował; mówili mu ludzie. „nie bądź złodziejem!“... -- a on teraz pieniądze fałszuje!...

Przed Frankiem na trawie leżała stara dziesięcio-reńskówka austryacka. Na ćwiartce listowego papieru przekopiował ją już wybornie; cieniowanie piórkiem szło gorzej, bo był jeszcze niewprawny, i ręka mu się trzęsła. Dwa kontury już popsuł, trzeci zapewne szczęśliwie dokończy, bo jak dotąd szło mu wybornie, a i papier tym razem do roboty wziął popielaty. Z farbami tylko z początku szło mu trochę trudno, nie mógł dobrać odpowiedniej brunatnej, długo nad tem myślał, jakby tu złemu zaradzić, aż oto spojrzał na obok kwitnący łan pszeniczny. Na niektórych źdźbłach spostrzegł ciemniejsze kłosy, brał je do ręki, a gdy rozstarł w palcach, wysypał się z nich brunatny proszek śniedzi pszenicznej. Pomyślał sobie, że to „rychtig“ taka sama będzie farba jak na papierkach. Brał proszek rozcierał w wodzie, próbował, aż mu się farbowanie udało znakomicie.

Nie upłynęło kilka dni, jak rozpromieniony Franek, skoczył naraz na równe nogi, zaczął sią z różnych stron przypatrywać zamalowanej ćwiartce papieru. Zmiął ją trochę, jak gdyby chciał pobrudzić, potem do światła przeglądał, podobnie jak to robił Srul arendarz, gdy mu było przynieść papierowego ryńsczaka. Widać, że był z roboty zadowolniony, bo na posmutniałej jego twarzy wystąpił lekki uśmiech. Ale Franek nie poprzestał na jednej dziesięcioreńskówce, ale skończywszy jedną, brał się zaraz do drugiej. Mówił sobie:

— Za jeden taki świstek nie daleko zajdę, najdalej do Ropczyc; a ja bym chciał przynajmniej do Tarnowa! Ano Franku do roboty!

I co on z niemi chce zrobić?.. iść do Tarnowa? — a cóż to mu w Porębie źle paść bydło: ma chleb, koszulę, matkę — czego on chce więcej?... Chłopakowi się w głowie przewróciło, czy co?... A Franek myślał sobie:

— Zawada mi mówił, że, aby iść do szkoły do Tarnowa potrzeba mieć dużo pieniędzy; czemużby i Franek zrobić nie potrafił, kiedy mu są potrzebne? Oho! zrobię i pójdę!... „Złapią!.. wezmą do kozy!..» coś mu szeptało wciąż do ucha. — Niech biorą! niech złapią! niby ja głupi im się prryznawać, że to ja robiłem.

W niespełna kilka tygodni, z dziesiątki, którą na św. Jan za półroczną służbę dostał, zrobił już trzy takie same. Ostatnia szczególniej była już o tyle dobrze zrobioną, że z pewnością gdzieś w sklepie u żyda wieczorem pójść by mogła z łatwością do drugich rąk. Nasz Franek, mając już teraz czterdzieści złr. w kieszeni, był sobie panem nie na żarty. Jutro jak świt opuszczał Porębę i wyruszał w świat! — za granicę wioski, z której raz tylko wychodził, a to wtenczas, jak żandarm matkę jego z niemowlęciem zataszczył do sądu.

Rano tylko świt, sójka zakrzyczała nad chatą. Franek ubrał się, włożył świeżą koszulę i białą sukmanę, przepasał się pasem, węzełek z chlebem i z butami na kij założył. Uklęknąwszy jeszcze przed matusinem łóżkiem, spiącą pocałował w rękę i wyszedł z chaty. Dzień był śliczny, sierpniowy.

Słońce zeszło z po za „Wilczej góry", i wszystko zaczęło budzić ze snu nocnego. Ptaki kołysząc gałęziami drzew — śpiewały. Frankowi przypomniały się dawne chwile, spędzone razem z owieczką na wzgórku; poszedł więc tędy a później skręcił koło cmentarza Tu zatrzymał go jeszcze grób Urbana Grządzieli swojego pierwszego profesora, zrzucił z pleców tobołek, ukląkł i pomodlił się. Niedługo wszedł już na górę. Z góry widać było jeszcze rodzinną wioskę i matczyną chatę, ale jak zrobił kilkanaście kroków naprzód, zniknęła mu Poręba, a zobaczył sąsiednie pola oryszowskie.. dalej wioskę... a jeszcze dalej miasteczko. Do miasteczka trafił, ale ztąd nie znał już drogi całkiem; pytał więc przechodniów po drodze.

— A kędy tu, ojcze, droga do Tarnowa?

— A ot! naprost, chłopcze, do tej wioski — Liszki, a z tamtąd to ci już powiedzą. W Liszkach powiedziano mu drogę do Górki, z Górki do Partynia, — niedługo wszedł na gościniec. Ot! jakoś po dwódniowej podróży zaszedł do Tarnowa. Ale w Tarnowie co? gębę rozwalił pod rogatką i gdy widział, że żyd bierze czworaka od jakiegoś chłopa, co krowę pędził na jarmark, myślał, że i on musi coś dać w łapę żydowi, aby go wpuścił Wsunął mu w rękę czworaka. Żyd zrobił wielkie oczy, ale że gescheft się udał, więc nic nie mówił, chociaż później mocno żałował tego, że się trochę z nim nie potargował.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Moralność w polityce

V.

(Ciąg dalszy).

Błędy podobne i inne jeszcze, popełnione rozmyślnie w celu zawarowania sobie *casus belli*, istnieją we wszystkich niemal traktatach pokojowych. To wszakże nie wszystko. Istnieją w nich jeszcze rzeczy daleko bardziej pouczające i ciekawe pod względem moralnym. W r. 1787 Polska, jeszcze niepodległa, powzięła była zamiar nadania sobie konstytucyi, w celu zabezpieczenia ładu wewnętrznego. Z góry świadoma tego, że zamiar podobny nie może się podobać Rosyi i że zatem nie uzyska jej aprobaty, oglądnęła się za sprzymierzeńcem i znalazła go w gabinecie berlińskim, który zobowiązał się formalnym traktatem do niesienia pomocy Polsce, w razie zaczepki ze strony Rosyi, z powodu Konstytucyi. Rosya Polskę zaczepiła Prusy przyszły z pomocą, nie Polsce wszakże, na którą napadły znienacka z tyłu, bez wypowiedzenia jej wojny, bez przestrzeżenia jej nawet. Wysoka moralność tego politycznego fortelu wykazuje się sama przez się. Wspomniany traktat był sobie podejściem wojennem, podstępem, z góry z Rosją umówionym. Na podstępie tym zyskały Prusy część swoją w drugim rozbiorze Rzeczypospolitej.

Słusznie nadano pokojowi, jakiego zażywamy obecnie, miano „pokoju zbrojnego". Lecz ściśle rzecz zauważywszy, nigdy innego nie było. Wszelkie pokoje służyły zawsze do jednego celu: do przygotowania wojny. Si vis pacem para bellum. A gorące oświadczenia miłości pokoju głośno rozbrzmiewały, podobnie jak i dziś z okazyi rewji i manewrów na lądzie i morzu, z tą jedynie różnicą, że ongi, gdy nie istniały jeszcze koleje ani telegrafy, można było ukryć snadniej przygotowania wojenne. Najzręczniejsi na tem zyskiwali. Po ukończeniu owych przygotowań, rzucało się jedno państwo na drugie i okrywało się chwałą — rozjaśnioną blaskiem pożogi, skąpaną we krwi poległych, głoszoną charczeniem konających, jękiem okaleczonych, szlochaniem wdów i sierot, oraz — okrzykami tryumfalnemi zwycięzców. Bywało, że dwa, trzy państwa zmawiały się potajemnie przeciwko jednemu, w czasie rozejmu zwanego pokojem. Tak się właśnie stało z Polską, ubezpieczoną ze strony Prus przez wyż wzmiankowany traktat, i nie przypuszczający, iż grozi jej zagłada polityczna od strony Moskwy, której wojska zajęły jej terytoryum, poprzedzone manifestem carowej Katarzyny Wielkiej, gwarantującym całość Rzeczypospolitej polskiej i domagającym się jedynie zniesienia nowej konstytucyi a powrotu do dawniejszej.

Wszystko to jest niesłychanie moralnem. Wszakże nie jestto wszystko jeszcze. Wglądając w stosunki międzynarodowe, napotyka się w nich rzeczy, które trudno napiętnować mianem stosownem, a które zasługują jednak na to, aby je wywlec przed opinię

publiczną. N. p. ajencye stałe lub ruchome, mające za zadanie bądź spełnianie urzędu biur informacyjnych, szpiegowanie poprostu (procesa o szpiegostwo następują po sobie bez przerwy), bądź to podniecanie w krajach obcych niezadowolenia i rozruchów, nie cofających się nawet przed płatnemi zabójstwami. Praktykowało się to w przeszłości; praktykuje się i dziś jeszcze. Niedawno osądzony proces wykazał jaskrawo ten sposób postępowania, o tyle uczciwy o ile polityczny; lecz ponieważ zaczepiał o państwo bardzo potężne, nie wywarł na opinię zbyt silnego wrażenia. Oburzenie publiczne hańbą byłoby okryło taką Bułgaryę n. p. gdyby to na jej żołdzie znajdujący się b r a v i usiłowali zamordować patryjotów, dajmy na to rossyjskich. Szczęściem dla Bułgaryi, nie ona korzystała w ten sposób z wolnych chwil, jakie daje pokój dla przygotowywania sobie tryumfów w następnej wojnie. Wielka potęga, to co innego! Prasa przeszła do porządku dziennego, a znalazły się nawet organa opinii publicznej, które, w sprawie procesu o którym mowa, wystosowały wymówki do małego państewka, — inne zaś obwiniły je o to, że stawiło państwo wielkie w konieczności przedsięwzięcia przeciwko niemu środków tak wyrazistych ze względu na moralność polityczną.

Najsmutniejsze, najzgubniejsze, najbardziej opłakane w tych sposobach działania oraz ich następstwach jest to, że się praktykują za opłatą pieniężną. Kupuje się ajentów; kupuje się dzienniki. Prasa sprzedajna wysługująca się pewnemu znakomitemu mężowi stanu uświęconą została mianem »pracy gadzinowej«; mniej spopularyzowaną jest wiadomość o »rublu wędrownym«, krążącym po Europie, Azyi, Afryce, Ameryce w specyalnym celu, polegającym na opłaceniu ajentów zdolnych do popierania w krajach obcych widoków i zamiarów rządów, uprawiających wielką politykę. Snując się po świecie jak mrówki ajenci opłacani »rublem wędrownym» po wszystkich warstwach, u góry i u dołu: w otoczeniu monarchów, w salonach i biurach ministrów, w buduarach wielkich dam i pół-światówek, w gabinetach mężów uczonych, w pracowniach artystów i rzemieślników, w fabrykach, kopalniach, kawiarniach, domach publicznych, — wszędzie. Snują się wszędzie, gdzie się polityka uprawia.

A gdzież nie uprawia się ona? Czy nie wsiąka do samego dna społeczeństwa i nie wywiera nań wpływu?

Powtarzamy: czy nie wywiera nań wpływu?

Przysłowie pewne rumuńskie orzeka, że »ryba zaczyna cuchnąć od głowy». Od góry to płynie i roztacza się daleko i szeroko trucizną, wytwarzając zgniliznę moralną, matkę wszelkich nadużyć, począwszy od nadużyć kapitału, protegowanego przez rządy, które go potrzebują dla kupowania sobie współpracowników, dla opłacania kosztów akcyi przygotowawczej i dla pokrywania czynów zwanych chwalebnemi. Bez tego P a n a m y i P a n a m i n y stały by się niemożliwemi. Brak ceremonii w obec moralności praktycznej, spuszczając się z góry, odtwarza się na wszystkich stopniach drabiny społecznej, objawia się w nadużyciu i zwala się całym swym ciężarem na barki pracowników. Ciała lub jednostki, mające do rozporządzenia cokolwiek, choćby tylko parę tysięcy franków, — idąc za przykładem władzy kierującej, uważają się za upoważnione do czynienia w małym zakresie tego, co tamta robi na wielką skalę, aby tylko dopiąć zamierzonego celu. Zaraza rozwija się do tego stopnia i przybiera takie rozmiary, że sumiennie trudno by przysiądz czy Ravachol'e nie są naśladowcami mężów stanu, popełniających też same czyny, tylko — z większą godnością.

Zrobiwszy taki przegląd faktów powyższych i zastanawiając się nad stanem rzeczy, jaki z nich wypływa, możnaby zwątpić o ludzkości, gdyby się nie objawiał w jej łonie prąd myśli, dążący do przeciwdziałania złemu.

Są to dążenia pokojowe.

Słówko o tych dążeniach. Nie są one nowe. Napotykają się już w historyi greckiej. Chrześcianie śpiewają po swych świątyniach i śpiewali za czasów, gdy wojna, uważana za najszczytniejsze i najchlubniejsze zajęcie, błyszczała całym swym blaskiem, modły brzmiące jak następuje: »Od powietrza, głodu, wojny zachowaj nas Panie!» Jestto zatem stare pojęcie, drogie szczególnie ludowi, — chłopstwu podłemu, — jednem słowem tym, którzy naród żywili i którzy, dla zabezpieczenia swej pracy od łupiestwa wojujących, za jedyną broń mieli modlitwę.

Modląc się, stawiali, wśród ciosów, wojnę w jednym szeregu z głodem i zarazą, co dowodzi, że nie szanowali jej bardzo. Modlitwa ich rozlega się po przez wieki, jak głos w puszczy: nie słuchał jej ani Pan Bóg, ani głowy państw, postawione łaską Jego na czele narodów. Na poparcie ludów, spiewających fałszywie lecz modlących się szczerze po kościołach, zjawili się filozofowie. Ci postawili kwestyę, lecz nie zdołali zainteresować nią opinii publicznej: przyznano im miano »umysłów szlachetnych» i umysły poważne pomieściły ich rozumowania i upominania się w rzędzie utopii.

Opinia publiczna, nawykła brać pod uwagę to, co jej polecają umysły poważne, miernie się interesowała oświadczeniami umysłów szlachetnych. Niedawno dopiero, najwyżej od jakich lat pięćdziesięciu, poczęła zastanawiać się nad tem. W łonie społeczeństwa powstawały, jedno po drugiem, stowarzyszenia pokojowe; to tu, to tam, zakładano pisemko lub pojawiał się artykuł, mający na celu propagowanie i podtrzymywanie tej myśli, że pokój jest nietylko dobroczynnym i pożądanym, ale i możliwym. Ruch coraz się wzmagał, równolegle do ruchu w kierunku przeciwnym, w kierunku przygotowań wojennych, coraz to bardziej gorączkowych. W chwili, w której żyjemy, w chwili gdy Europa uzbrojoną jest po same zęby, stowarzyszenia pokojowe są liczne; zwolennicy ich liczą się na miliony. Opinia publiczna została poważnie zainteresowana sprawą, która, opólnikowa w początkach i nieokreślona, wyraźnie się postawiła. Wyrażono życzenia, które zostały wzięte pod uwagę i zformułowano wnioski, mające na celu rozwiązanie zagadnienia.

Z tych wniosków wybieramy trzy, które rozpatrzymy z punktu moralności stosowanej do polityki: rozbrojenie, sąd rozjemczy, wreszcie federacya narodów.

Zauważyć nalezy, że Stowarzyszenia pokoju różnią się jedne od drugich odcieniami mniej lub więcej zaznaczonemi. Jedne żądają pokoju za wszelką cenę, pokoju dla pokoju, w obecnem s t a t u q u o lub inaczej, mniejsza o to, byleby wojny nie było; inne uznają, że aby pokój ów był pokojem prawdziwym, poważnym i trwałym, należy go ubezpieczyć i dać mu pewne rękojmie. Wszystkie stowarzyszenia wszakże, bez względu — na dwa pierwsze wnioski, mianowicie: na rozbrojenie i sąd rozjemczy. Co do trzeciego, zastrzega się go, prawdopodobnie ze względu na delikatne punkta, jakich dotyka, — i my go zastrzegamy sobie do zakończenia naszego sprawozdania.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Pomnik „Autorowi czerwonego sztandaru“, Bolesławowi Czerwińskiemu, wystawiła na cmentarzu Łyczakowskim polska partya socyalistyczna. Odsłonięcie pomnika nastąpiło podczas zjazdu socyalistów d. 12 b. m. przy udziale blisko 3000 robotników i robotnic.

Na Litwie. Rosyanie popierani przez rządy cara nabyli w 1893 roku w guberni Mińskiej przeszło 87000 dziesięciu ziemi częścią od Polaków, a w części od księżnej Hohenlohe; w styczniu r. b. własność większa rosyjska wynosiła już 2.4 mil. dziesięcin.

Wystawa przemysłowa w Poznaniu odbędzie się w r. 1895.

Składka na pomnik dla Bolesława Czerwińskiego, zebrana przez p. St. Błotnickiego, wobec tego, że pomnik już stanął z grosza robotników polskich, zostaje przeznaczoną na wydanie utworów poety.

Fundacya stypendyjna imienia Teofila Lenartowicza tworzy się z funduszu 2080 zł. pozostałego ze składki na pogrzeb. Wydział krajowy, któremu fundusz powierzono, uchwalił stypendyum dla syna włościańskiego, uczęszczającego do szkoły rolniczej, z chwilą gdy odsetki od kapitału przynosić zaczną 100 złr. rocznie.

Konfiskata. »Z niedalekiej przeszłości«, broszurka o życiu i działalności T. Wiśniowskiego i J. Kapuścińskiego została d. 31 lipca skonfiskowaną.

Dr. J. Kallenbach, prof. uniw. we Fryburgu wybrany na dziekana wydziału filozoficznego.

Kazimierz Pochwalski zamianowany został zwyczajnym profesorem historyi malarstwa w akademii sztuk pięknych w Wiedniu.

Panny Sulicka i Olszewska zaliczone zostały do grona lekarzy w Paryżu.

P. Jan Baudouin de Courtenay będzie wykładał od przyszłego kursu na uniwersytecie krakowskim językoznawstwo porównawcze w charakterze »profesora zwyczajnego tytularnego«. P. B. de Court. nie zgodził się zostać urzędnikiem austryackim, wykładać więc będzie za kontraktem, tymczasem na przeciąg lat 5.

Dr. Jul. Schramm, Nadzwyczajny profesor, mianowany zwycz. prof. chemii na uniw. Jagiellońskim.

W Papperswylu w d. 5 do 7 b. m. odbywały się narady zarządu „Muzeum Narodowego w Rapperswylu« i komisyi nadzorczej Skarbu Narodowego polskiego. Obie instytucye wykazują żywotność w swym rozwoju. Najświetniejszym objawem żywotności Muzeum Narodowego jest tegoroczne Album, mieszczące życiorys Kościuszki, pracę chlubną dla literatury i instytucyi, która ją wydała. Skarb Narodowy oprócz stałego rozwoju w Europie zyskał w tym roku nową gałąź w Oddziale północno Amerykańskim, który niezmiernie szybko się rozwija.

Tarnopol odzyskuje prawa autonomiczne, odbiera ster rządów miastem z rąk komisarza i oddaje w ręce radzie miejskiej z wyborów.

Kopalnia węgla »Paryż« w Dąbrowie Górniczej uległo dnia 7 b. m. klęsce pożaru, grożąc straszną kleską zniszczenia kopalni. Po 4-ch dniach obawy okazało się, że kopalnia ocalała, a spaliły tylko wszelkie zabudowania i maszyny.

W Księstwie Cieszyńskiem są dwa gimnazya niemieckie, 2 szkoły realne, 2 seminarya nauczycielskie dla 41.714 Niemców, za to 177.418 Polaków nie mają ani jednej szkoły średnej polskiej. Gimnazyum niemieckie w Cieszynie liczyło w ostatnim roku szkolnym 329 uczniów; z tych było 112 Polaków, 183 Niemców, 32 Czechów i 2 Węgrów. Według wyznania było 221 katolików, 60 ewangelików, 47 żydów i 1 szyzmatyk. Niemiecka szkoła realna w Cieszynie liczyła w tym samem czasie 263 uczniów; z tych 103 Polaków, 147 Niemców. 11 Czechów, 1 Słowaka i 1 Kroata. Według wyznania było 168 katolików, 54 ewangelików, 40 żydęw i 1 szyzmatyk W dwóch zatem szkołach średnich uczyło się 215 Polaków. Maciesz Śląska posiada 55.000 złr. na założenie gimnazyum polskiego, ale to dotąd zbyt mały fundusz.

W rocznicę stracenia J. Wiśniewskiego i J. Kapuścińskiego we Lwowie, i 5-ciu członków Rządu narodowego w Warszawie młodzież w całym kraju cześć bohaterom złożyła.

W Ostrawie Morawskiej przebywa obecnie według ostatniego spisu ludności 5300 Polaków, w znacznej części z Galicyi pochodzących, a osiadłych tam w celu zarobkowania, od r. 1870. Dla uratowania tych polskich robotników od zniemczenia, założono tam staraniem pp. Szatyńskiego i Gwoździewicza, polską Czytelnię, której otwarcie odbyło się 19 bm. Czytelnia potrzebuje pism polskich i książek, udaje się do ofiarności publicznej i uprasza o nadsyłanie tychże pod adresem: Czytelnia polska w Ostrawie Morawskiej.

Komisya kolonizacyjna nabyła w roku bieżącym, 7 wielkich dóbr, z tych 3 w Księstwie Poznańskiem, a 1 w Prusach zachodnich. W Księstwie nabyła Ostrowieczno (powiat śremski), Przecław (powiat obornicki), Brudzewo (pow. wrzesiński), Tarnowo (pow. zachodni poznański), Gwiazdowo (pow. średzki), Janowiec (pow. żniński). W Prusach zachodnich nabyła Wielki Włościbórz (pow. złotowski). Razem obszaru 5272 ha, w tej liczbie wyszło 3004 hkt. ziemi z rąk 4 Polaków, a 2267 hk. z rąk 3 Niemców. Prócz jednej wsi wszystkie inne nabyła komisya z wolnej ręki. Pani Bąk sprzedała Niemcom za 108.000 marek wieś Strzelce w powiecie Mogilnickim, a p. Eustachy Rogaliński, majątek Turzyn na Kujawach.

„Sprawozdanie kraj. Tow. naftowego w Galicyi“, dwutygodnik zaczął wychodzić w Jaśle.

Zjazd młynarzy, odbyty we Lwowie dnia 6 bm. uchwalił wydawać pismo fachowe pt. *Galicyjska gazeta młynarska.*

Zmarli: *Ks. Mikołaj Siczyński*, gr. kat. proboszcz, poseł na sejm krajowy z okręgu zbaraskiego, obrońca interesów ludu, zmarł w Stopczakowie pod Kołomyją.

Łucyan Kwieciński, utalentowany artysta teatrów polskich, zmarł w Iwoniczu.

Włodzimierz Wysocki, poeta autor Oksawy, Nowych Dziadów, Lasu i t. d. zmarł w Kijowie.

Konstanty Romanowski członek gwardyi z r. 1846—48, powstaniec z r. 1863, zmarł w Stryju.

Jan Liszewski, założyciel i kilkoletni wydawca »Gazety Olsztyńskiej«, zmarł w Olsztynie.

BIBLIOGRAFIA.

Stefan Komornic i. *Polska na zachodzie w świetle cyfr i zdarzeń.* Część pierwsza. Zabory i kolonizacya niemiecka w ziemiach polskich z szczególnem uwzględnieniem W. Ks. Poznańskiego do r. 1448. Lwów 1894. stronnic 351.

Dzieło powyższe pojawiło się już było w miesięczniku *Ekonomista polski* jako szereg artykułów pierwszorzędnych. Nim obszerniejszą zdamy sprawę o niem, zaznaczamy tylko w tem miejscu po krótce, że to praca bardzo poważna, na naukowych podstawach historycznych i statystycznych oparta, bez cienia fantastycznego optymizmu, lecz prostująca często nieomylne i gruntowne niby dane i wnioski naukowe niemieckie.

Zabór pruski doczekał się znakomitego oświetlenia swej przeszłości we Lwowie. Mamy nadzieję że niezadługo dalsze części tego dzieła się ukażą.

Fr. Rawita. *Racławice* (rok 1794), powieść historyczna Lwów 1895. Nakład Jakubowskiego i Zadurowicza str. 327.

Fr. Rawita. *Warszawa*, opowiadanie na tle dziejowem z r. 1794, Lwów 1895. Nakładem Jakubowskiego i Zadurowicza str. 306.

Jedna z cenniejszych i płodniejszych sił powieściopisarskich polskich obdarzyła nas w roku Kościuszkowskim 2 powyższemi powieściami historycznemi, które czytelnik z zajęciem i korzyścią przeczyta. Sprawozdanie damy później.

Wydawnictwo groszowe im. *Tadeusza Kościuszki* od kwietnia b. r. puszcza już w świat czwartą książeczkę. 1-szą jest:

K. Wojnar. O naczelniku Kościuszce (cena 5 centów;) 2-gą Zbiorek *„Pieśni narodowych;“* (cena 4 centy) w 3-ciej zamieszczono:

I Obrazek *Maurycego Zycha*: Do swego Boga i II *Gryfa*: Do swoich (opowieść osnuta na tle prawdziwego zdarzenia). Cena 4 centy Kraków 1894 str. 24.

I piękny obrazek p. *M. Zycha*, i opowieść, napisana przez *Gryfa*, osnute są na tle tych wypadków, jakie mają miejsce na tak zwanem Podlasiu i Chełmskiej w Ziemi od r. 1870 kiedy to »tolerancyjny rząd carski« pozwolić raczył *unitom* dobrowolnie przechodzić na łono »prawowiernego« kościoła. — Na bardzo praktyczny i doniosłego znaczenia pomysł wpadli wydawcy przy 3-ciej książeczce — oto na okładkach podano wiadomość o wypadkach w Krożach i o manifestacyi 17 kwietnia w Warszawie. W ten więc sposób, wydające co miesiąc jeden tomik, można będzie ułożyć kroniczkę wszystkich ważniejszych wypadków na obszarze całej Polski z całego roku.

4-tą książeczką jest:

Żywot i czasy św. Jacka, patrona królewstwa polskiego, Apostoła Słowian, na tle historycznem na pamiątkę 300-tnej rocznicy Jego kanonizacyi, skreślił *Ks. S. J. P.* (cena 5 centów). Kraków, 1894 r. str. 40.

Książeczka ta, opracowana sumiennie, zawiera wiele danych historycznych, a główną jej zaletą jest to, iż z całego opowiadania przebija przywiązanie gorące do Ojczyzny.

Wydawnictwnictwo powyższe doborem treści oraz niebywale niską ceną zaleca się samo. My ze swej strony możemy tylko Sz. Czytelnikom przypomnieć adres dla zamówienia: *Kraków. Dr. Zygmunt Kostkiewicz*, Plac WW. Świętych l. 9. a wydawcom życzyć, aby nie tylko po Galicyi, ale we wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej i na emigracyi, książeczki ich rozchodziły się w tysiącach egzemplarzy.

Przegląd Poznański Nr. 22. Zawiera: Warunki produkcyi węglowej na południu Rosyi w związku z Król. Polskiem p. Zen. Piet. — Polityka: Przegląd prasy słowiańskiej p. K. — Literatura i sztuka: Leon Dautet p. Waleryą Marrené-Morżkowską — Badania naukowe: Moralność niezależna p. Dr. Z. D. Szkoła i wychowanie: Wychowanie narodowe, p. Izabellę Moszczeńską. — Fejleton: Na Wyłomie, przez Tristana. — Życie społeczne: Kronika krakowska p. K. Bartoszewicza. — Kronika literacka. — Kronika powszechna. — Bibliografia. — Odpowiedzi Redakcyi. — Odcinek: Mogiła p. Maurycego Zycha. — Lampiarz Miotełko, p. Jarogniewa.

Przegląd Poznański Nr. 23. Zawiera: Polityka: Stosunki partyjne Rusi halickiej przez Leona Wasilewskiego. — Przegląd prasy słowiańskiej p. K. — Sprawy ekonomiczne: Uwłaszczenie w Ziemiach pruskich i jego skutki, p. Edwarda Przewóskiego. — Literatura i sztuka: Literatura niemiecka. Max Kretzer: »Meister Timpe«, p. Malwinę Posner-Garfein. — Szkoła i wychowanie: Wychowanie narodowe, (Dokończenie) p. Izabellę Moszczeńską. — Życie społeczne: Kronika paryzka p. A... Y.. — O kobietach lekarzach i kobiecych kursach medycznych w Rosyi. — Fejleton: Na Wyłomie, przez Sullę. — Kronika literacka. — Kronika powszechna. — Bibiografia. — Odpowiedzi Redakcyi. — Odcinek: Mogiła p. Maurycego Zycha. — Dzieje małżeńskie, I. pana Strindberga, tłum. Empa.

Adres Administracyi »Przeglądu Poznańskiego«. — Poznań, Piekary, 7; — Redakcyi — ul. Bramkowa, 7.

Od Administracyi.

Upraszamy Szan. Prenumeratorów „Słowa Polskiego“ o wczesne nadsyłanie przedpłaty i prosimy o uiszczenie zaległości.

Ofiary: Pan Konopacki złożył w redakcyi naszej na rzecz »Szkoły ludowej“ 25 centów.

Wydawca i Redaktor odpowiedzialny: **Hipolit Śliwiński.**